

Biblioteka
UMK
Toruń

399628

STEFAN MOSZCZEŃSKI.

ZA TWOJĄ KREW

Z ROKU 1905.

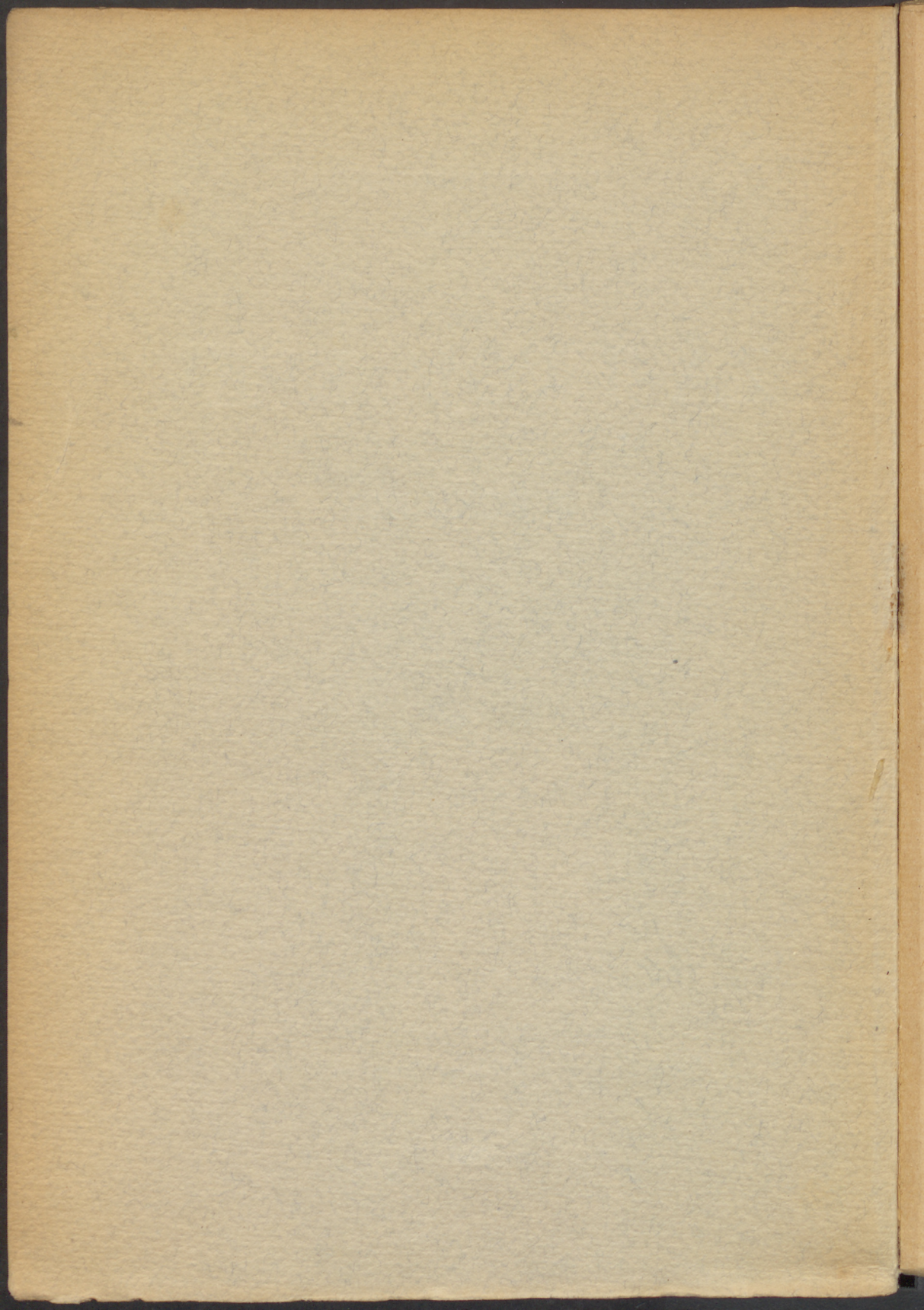


WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY w KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.

1918.

150



STEFAN MOSZCZEŃSKI.

ZA TWOJĄ KREW

Z ROKU 1905.



WARSZAWA

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA.

1918.

Prawa autorskie zastrzeżone.



399628

Gepprüft und freigegeben durch die Kais. Deutsche Presseabteilung. Warschau
den 18. III. 1918. T. N. 9476. Dr. N. 419.

Druk K. Kowalewskiego w Warsz

K. 1422/69

Za twoją krew.

I.

O cudnym słońca zachodzie Stefan Żuczek, polewając kwiaty, rosnące pod ścianami „pałacu”, rozmyślał o tym dziwnym stosunku osób i rzeczy, wśród których musiał żyć obecnie. Woda biła cieniutkimi strumieniami z przechylonej konewki na żółte i błękitne liście, to na złoto-zielone żdźbła traw, które opasywały klomby kwiatowe wąziutką murawą; bełgocąc, zbiegała w strumyki, ze strumyków zlewała się w płaskie, maleńkie zbiorniki na żółtym żwirze ścieżek.

Gdy już ostatnie krople wody wyciekły na ziemię, Żuczek postawił próżną konewkę na słupku małego płotka, który dwiema liniami drutu kolczastego odgradzał „ogródek” od głównej alei, następnie wziął parciane lejce do ręki i pognął osiołka, zaprzężonego do beczki. Droga biegła kręto i trochę spadzisto pośród rozrzuconych kęp dzikiego drzewa po żwirach, skrzypiących pod dwukolnym wózkiem, a nawiezionych umyślnie na gliniaste ścieżki ogrodu. Stefan zatrzymał osiołka u brzegu jeziora pod zwisającymi gałęziami wierzb, gdzie woda stała cicha, gładka, trochę już ciemniejsza, niż za

dnia, miejscami trochę zaróżowiona od obłoków, które szły samotne po wielkiem jasno-zielonem niebie w ogniu zachodzącego słońca.

Żuczek objął przyjacielskiem spojrzeniem wszystek krajobraz. Leżało tam jezioro niezbyt szerokie, otoczone zewsząd zieloną wstęgą sitowia, wyrosłego niedawno po nad wodą; nad sitowiem stały brzegi piaszczyste, wysokie a na brzegach ciemne zagaje. Jezioro było, jak oko jasne, osadzone głęboko, z ciemną zielenią szerokiego łuku brwi. Migotało w niem tajemniczo światło nieba. Na to niebo Żuczek przeniósł z głębin jeziora wzrok radosny. Właśnie płynęła powoli skupiona chmura obłoków. Jak w masie czworograniastej, nie wysokiej, grubej, pękatej, zebrały się mgły, zbiły się w maleńkie chmurki, a chmurka każda tuż obok drugiej w tym jednym wielkim zwale poumieszczana, jak schody wielkiego amfiteatru. U spodu wszystkie równo ucięte, niby bryła surowego materiału, w którym dłoń człowieka, czy Boga poczęła wycinać olbrzymie stopnie. Zachodzące słońce przenika ich wnętrza, że każdy z obłocznych odłamów rozświeca się, rozpala, rozognia krwawą żagwią, niby płomieniami, buchającymi z wnętrza, gdy brzegi ich od strony wschodniej pozostały ciemne. Cała ta masa jest ruchoma. Widać każdą chmurkę osobno, jak płynie razem z drugimi, ale płynie również sama, niezależnie od drugich, poruszając się w granicach wspólnej masy. Wielka, ciężarna, pękata bryła zaledwie się porusza, jakby ją zatrzymywały wichry w górze wiejące, jakby ją obezwładniały omdlewające promienie słońca. Prawie jakby zawisła nieruchoma, ogromna, krwawa w niebie jasnym i niezgłębionem. Ale

małeńkie jej chmurki przesuwały się jeszcze, wydłużając swe kształty, czasami wewnętrzny żar ognia wygina mocniej powłokę, rozrywa ją w strzępiaste mgły, to znów w górę wyrzuci ostry cypel, jak szczyt wulkanu. Ze stopni amfiteatru tworzy się czerwony zwał chmur, nad chmurami urwiska skalne, szczyty zawisłe, a wśród nich ciemne przepaście.

Słońce spada coraz niżej. W górze cichnie powiew zachodu. Zatrzymała się chmura olbrzymia, zastygła w swym ruchu. Nawet w jej wnętrzu nie widać dalszych przemian. Zdaje się, że to olbrzymi grzbiet gór płynął wśród światów podniebnych i, zagubiwszy drogi, zatrzymał się. Zatrzymało również słońce swe promienie gorejące. Stały przeto góry w ogniu wewnętrznym i w morzu seledenowem, które je opływało.

Zuczek przeniósł wzrok znów na wodę. Ten sam zwał krwawych chmur, to samo niebo, ukryte głęboko, głęboko u dna wód. Tuż obok młodego sitowia rozrywa się ciemna, szklista tafla jeziora, otwiera się tajemnicza głąb, a w niej ten sam świat podniebny, który łądził wzrok.

Zadrżał. Nie rozumiał, czemu ten świat w górze nad nim, czemu ten sam świat w przepastnych głębinach? czemu oba jednakie? czemu oba tak dalekie, choć serce chciałoby wchłonąć w siebie jeden i drugi? Nie rozumiał, poco on tu jest. Jakie losy go przyniosły? Jakie siły przerastają mu duszę, że stoi bezradny, nie mogąc ich pomieścić w piersiach?

Zbudził go odgłos dzwonka podwórzowego. Wziął się raźnie do nalewania wody, choć żal mu było gwał-

townym wysiłkiem rąk budzić cichy sen jeziora, sen o tęsknotach niewypowiedzianych, o prawdach, ukrytych na dnie. Po napełnieniu beczki wracał tą samą drogą. Przez cały czas gramolenia się pod górę ogrodu, rozmyślał w trwożnym zdumieniu, co się z nim dzieje, jakie głębokie zmiany zaszły w jego naturze od chwili przybycia do Wyrw. Nowy, nieznaną prąd uniósł jego myśli w światy obce i dalekie od dotychczasowych upodobań. Rzeczy napozór proste i znane nabierały treści innej, szerszej, jakby pełniejszej o całe odczucie. Miał wrażenie, że z nich idzie ku niemu głos wołający. Z tych rozkwitłych bukietów bzu, które napełniały ogród zapachem niewysłowionym, z tych tajemniczych bytów wody uspionej, z obłoków, które płynęły wolno nad głową, z bezmiernej ciszy wieczora szedł ten głos ku niemu, skradał się cicho i tajemniczo, wdzierał się chytrze, a przemocą w głębinę serca, tak, że poczynało kołatać trwogą i pragnieniem.

Zastanawiał się nad przyczyną wewnętrznych zmian. Czyżby miał je zawdzięczać tajemnym urokom wód, wiośnie rozbujalej? czy innym nieznanym siłom? Nie zdawał sobie sprawy. Coś w nim powstawało, coś w nim rosło, coś się dopominało o swe prawa. Był, jako młody ptak, któremu już rosła skrzydła, więc chce się zerwać do lotu, więc nęci go i porywa inny, szerszy, niż we własnym gnieździe świat, a jeszcze nie ma sił, a jeszcze nie wie, że po za gałęzią, na której się buja dom jego rodzicielski, leży przepaść. Jego prosty, mało wykształcony umysł nie mógł się uporać z rozbiorem i wyświeceniem wrażeń, które nosił w sobie głęboko.

Nagle drgnął.

Od strony wsi szybko szła przez ogród „jaśnie panienka“. Patrzył na nią wytężonym wzrokiem i odprowadzał aż do oszklonych drzwi werandy. Przeszła zdaleka od niego i znikła. Jemu się zdało, że na drodze, którą przebiegła, pozostało przez chwilę jaśniejsze światło, że kwiaty w tem świetle rozbłysły, a od drzew podniósł się dziki zapach bzu i napełnił nozdrza i piersi.

Uspokoiwszy się, zabrał się do polewania kwiatów, ale dnia tego robota szła mu wolno. Męczyły go rozmyślania. Przedewszystkiem zastanowił się, skąd mogła iść „jaśnie panienka“. Potem przypominał sobie wrażenie, jakiego doznał, widząc ją raz pierwszy w Wyrwach. Była w białej sukience. Tylko boki jej stanu opinał czarny sweter u przodu rozchylony. Między połami swetera na białym staniku bukiet świeżo rozkwitłych fijołków, przepięty w złotym łańcuchu, który od zegarka zwieszał się ku dołowi i opasywał jej cienką, wysmukłą talię. Kreza białego stanika, podparta czarnym kołnierzem swetera, zasłaniała szyję i część wysoko z tyłu upiętych włosów. Wykwitała z tego obramowania głowa precudna. Nie umiałby Żuczek zdać sobie sprawy z jej rysów. Pamięta jedynie, że nie wiedział, czy oczy jej, czy bukiet u piersi, biało opiętych, mają piękniejszą barwę fijołków. Pamięta czoło białe, wypukłe, wysokie, a nad niem sfalowane, ciemne włosy z odcieniem złotej miedzi. Oczy niosły blask, że Żuczek spuścił wzrok ku ziemi i, niezdarnie rozstawiwszy nogi, odpowiadał bąknięciami na jej pytania.

Jego niezdarność, mamlanie słów w pomieszaniu, zacieranie rąk, szastanie nogami przyniosły na usta ja-

śnie panienci uśmiech towarzyskiej wyższości. Patrzyła na niego z dobroliwością palącą, jak policzek. Pytała się go, co umie, co robił dotychczas, wskazywała obowiązki, które miał spełniać. Każde z tych słów czepiało się serca, niby drzazga, świadomie wbijana w najboleśniejszą ranę. Nie mógł właśnie zrozumieć, czemu go to wszystko boli? Przecież w głębi jego duszy dawno wyrosła pogarda dla ludzi bogatych. Pomiatał tem burżujskiem plemieniem, temi lalami strojnemi, ich zwyczajami wyrafinowanymi, a pustymi, jak ich serca i dusze. A jednak od czasu poznania jaśnie panienci wyrósł w nim ropień głęboko jeszcze ukryty, lecz przypominający co dnia, co godzina, że jest on innym, niż oni wszyscy, jak gdyby niższym, jak gdyby całkiem z innego świata, przed którym leży przepaść nie do przebycia. Że to są światy różne, wiedział. Przyjechał do Wyrw z tą świadomością, lecz czemu go to gniewa? Czemu pragnie, żeby się coś zmieniło, choć sam nie wie co? Poco wogóle jemu to wszystko?

Był zły na jaśnie panienkę, że mu mąciła życie. I kto? Ale ona! Wydała mu się kwiatem cudnym, lecz nic po nad to. Choć obecnie ogrodniczek, obcował z ludźmi różnych sfer. Życie rzucało go to tu, to tam. Nie umiał w swym umyśle prostaczym określać słowami wrażeń, których doznawał, lecz je wyczuwał nieświadomie. Mógł doskonale odróżniać płytkość myśli, a szczególnie uczuć, od głębi uniesień. Widział w jaśnie panience na każdym kroku powszedniość dnia. Wprawdzie zajmowała się wiele gospodarstwem, uczeniem dzieci, pielęgnowaniem chorych, lecz to go właśnie najmocniej gniewało.

wało. Wolalby ją widzieć strojącą się, bawiącą, całe dni we flirtach, romansach, zupełnie do niczego dziewczyną, niż w takim układzie, który to niby wywyższał ją po nad innych, a w rzeczywistości tamował rozwój myśli wyobrażeniem, że się czems jest, że się coś robi, a nie robi się nic, i nie jest się niczem.

Była jasną, dobrą, wesołą. Gdzie szła, siała słoneczną radość pomiędzy ludzi. Nawet drzewa i kwiaty rozbłyskiwały, gdy stała wśród nich. Drobna, w białej sukience wyglądała, jak lilia wodna. Jej śmiech był, jak perły, czysty i radosny. Zdaleka rozlegał mu się w duszy, to jak pokusa, to jak ton zimny i drwiący z jego niezdarności. Nie wiedział, czy do niej dążyć, czy chronić się przed nią, czy błogosławić życie, czy kląć, że go tu przyniosło.

Musiał się z nią wciąż spotykać. Ona to przeważnie wydawała rozporządzenia, tyżące się zajęć w ogrodzie lub usług przy stole. Więc nie raz, ale kilka razy na dzień doznawał uczucia, którego nie mógł uzgodnić z tem, co dotychczas czuł. Nie umiał go nawet określić słowami. Ni to radość widzenia ogarniała jego oczy, ni niechęć, że jest czems nikłem, nic nie znaczącem w blasku jej spojrzeń. Było mu tak, jak człowiekowi mocno rozspanemu, którego twarz rozświeca południowe słońce. Otwierają się oczy do słońca, lecz ręką odgarnia promienie, lejące się złotą falą, a fala nęci i porywa, a fala razi i sprawia ból.

Teraz oto, gdy wylewa ostatnie konewki wody na kwiaty, tonące w wieczornym zmierzchu, przychodzą żywo wspomnienia, jak nigdy dotąd. Nadewszystko jedna

wielka chwila. Było to niedawno, bo przecież niedawno Stefan Żuczek objął miejsce ogrodniczka w Wyrwach. Polewał wieczorem kwiaty pod oknem jaśnie panienki. Wieczór był cichy i cudny, jak ten oto dziś. Słyszał na górze czyjeś kroki. Nie wiedział, kto chodzi. Poznał dopiero po głosie. Wymawiała słowa, jak pieśń, jak muzykę, to cichą, to rwącą, jak potok. W pewnej chwili słowa jej płomienne rwały się, jak burza. Nie dosłyszał słów, nie wiedział, czyje to myśli, czyje to słowa wymawia, lecz zdawało mu się, że to jej własne są słowa, wyrwane z głębi duszy. Uczuł, jak płomienną, jak wielką w swym rozmachu musi być jej dusza. Uczuł jednocześnie żal, że on sam jest tak daleki i obcy, że między nim, a nią istnieje mur nieprzebyty.

Niechęć ustąpiła z serca nagle. Rozlało się w niem błogie przeświadczenie, że ona jest duchem, zagnanym czyjąś mściwą ręką w tę atmosferę nizkości i podłego burzujstwa, że chodzi, jak królewna, której zaczarowano skrzydła. Nie może rozwinąć lotu swej duszy. Wiązą ją zewsząd, trzymają na łańcuchach u ziemi wrogie siły. Gdyby tak rozciąć łańcuchy! gdyby ją wyrwać stąd! Stałyby się jednym wielkim czynem.

Nie umiał znaleźć słów na określenie swych uczuć. Przeżywał to w sobie stokroć silniej, aniżeli uświadamiał. Jasność, która biła z jej oczu, uśmiechów, z jej ramion i z niej całej, jak blask zewnętrzny, poczęła przenikać komórki jej ciała, poczęła wnikać w nią, świecić w niej samej, niby myśl, płonąca w ujęciu szkieł błękitnych, przez które wybucha światło, że wszystko stawało się dniem jasnym, radością życia, błękitem jego duszy.

Chodziła w tem świetle własnem jasna, biała, cudna. Jakże to wyrazić ziemskimi znakami? cóż słowo bezmocne znaczy? Znał jedno jedyne określenie: jaśnie panienka. Myślał o niej temi słowami i mówił do niej. Mógł do niej tak mówić, bo zwyczajem wiejskim wszyscy jej mówili: jaśnie panienko. Ale tem miłsze były mu te słowa, że do rodziców jej, do państwa Krzyżtoporskich mówił: państwo dziedzice. Więc w tem określeniu była mu jak promień jasny, jeden jedyny w całych Wyrwach.

Gdy tak rozmyślał, słońce chyliło się ku zachodowi, aż zaszło za dalekim lasem, schowało się głęboko za różowe mgły. Lawa podniebnych chmur paliła się jeszcze jakiś czas, ale i jej żar stygł, bladł, ginął w ciemnościach wieczoru, który szybko szedł po niebie, a zwały szare poczęły powoli rozstępywać się, rozszerzać, rozplwać, aż się utworzył z nich jeden wielki wydłużony obłok, ciemny, a tylko od zachodu na wązkim skrawku różowy. Rozwiała się całkowicie wizya gór, gorejących na niebie.

Od strony jeziora wiał orzeźwiający chłód. Żuczek spojrział przyjacielskimi oczyma na tę długą, ciemną smugę wody, Zwierzył jej bezwiednie w jednej przelotnej chwili tajemnicę serca. Potem wziął pustą konewkę i ruszył osiołka ku stajence. Tu oddał go opiece stajenego chłopca i poszedł do swego pokoiku w oficynie, tak zwanej „ciupki“, gdzie począł się przebierać. Wieczorem czekała go, jak zwykle, usługa przy stole.

Lubił to zajęcie, bo ono dawało mu sposobność spędzania wieczorów tak blisko jaśnie panienki. Z jej ust otrzymywał wszystkie szczegółowe rozporządzenia. Ileż

to razy szedł za nią po zastawę do kredensu lub spiżarni. Mógł wówczas oswajać oczy z jej cudną twarzą. Ale daremne to były wysiłki. Oczy, które co chwila biegly na zwiady, wracały ośleple od blasku. Czasem odróżniał, jakby przez błękitne światło, upięcie włosów, uśmiech, jak połysk słońca, oczy, jak promienie gwiazd. Nie spojrział jednak nigdy w ich głębie, nie miał odwagi, ani sił. Gdy mówiła do niego, patrzył ku ziemi, ale przez spuszczone powieki czuł światło jej duszy. A jeżeli kiedy odważył się podnieść zalekłe źrenice, wówczas zazdrosny, promienny blask zasłaniał przed niemi zjawisko. Wzrok zachodził błękitną mgłą i tylko łoskot serca mówił mu o jej bliskości.

Tak mijały krótkie, wiosenne wieczory.

Do stołu siadało osób niewiele. Oboje państwo Krzyżtoporscy, jaśnie panienska, madame Labeille, stara eksnauuczycielka, obecnie rezydentka; siadał również młodziutki praktykant gospodarczy. Dnia tego z powodu przyjazdu gości towarzystwo było znacznie liczniejsze.

Żuczek czuł się niezadowolony. Nie lubił gości, bo mu psuli nastrój i odrywali jaśnie panienskę od zajęć, przy których mógł się z nią spotkać. Zwłaszcza dzisiaj był rozdrażniony ich obecnością i z upragnieniem oczekiwał chwili, w której się znajdzie w swoim mieszkanku i będzie mógł swobodnie rozmyślać.

Wtem zwróciło jego uwagę następujące pytanie:

— Panie Kazimierzu, jakże pan spędził karnawał w Warszawie?

— Karnawał, proszę pani? Ależ w Warszawie nie

było karnawału w tym roku. Nie poznałaby pani Warszawy. Co za nudy. Nawet ludzie z towarzystwa nie myślą o zabawie, tylko ciągle zebrania i mowy, mowy bez końca. A o czym? O konstytucyi, autonomii, o jakiejś federacyi. Brrr! uciekłem.

— Mój Boże! ależ to miłsze było, niż te wszystkie hupsztyki.

— Halko!—odzywa się nagle pani Krzyżtoporska— jakżeż można mieć tak pospolite gusta i tak się wyrażać.

— Czy to gust pospolity? Cóż to takiego nadzwyczajnego ciągle tańce i towarzyskie zebrania. Chciałoby się skosztować innego życia.

— Jakie znów inne życie? Na zebraniach poznajesz młodzież. Co może być odpowiedniejszego dla młodej panny?

— Ach! mama znowu ze swojemi wystąpieniami.

Pani Krzyżtoporska nachyla się do ucha Stefana i mówi:

— Proszę cię, powiedz Mielnickiej, żeby prędzej przysłała pieczyste.

Żuczek znika za drzwiami. Kiedy powraca, słyszy już inną rozmowę.

— Pani się tem wszystkim interesuje, bo pani taka społecznica.

— Ja? czemuż to?

— Niech pani nie będzie za skromną. Wszyscy w okolicy wiedzą i o tem mówią.

— O czemże takim?

— Że pani leczy chorych, uczy dzieci wiejskie.

Przez usta Stefana przewija się uśmiech ironii. Nasłuchuje z rosnącą ciekawością.

— Słyszeliśmy nawet, choć nie bardzo dajemy wiarę, że pani zakłada jakowąś ochronkę, gdzie będą przynoszone dzieci w kołyskach, czy coś podobnego.

Halka wybucha śmiechem. Stefan znów wychodzi do kredensu i niezadługo powraca.

— A wie pani, czemu tak się spieszyłem z Warszawy?

— Nie domyślam się wcale—mówi Halka, ale oczy jej biegają po twarzy swego rozmówcy w filuternych uśmiechach.

— Pociągał mnie fijołkowy kolor w Wyrwach.

— Ach! wiem, wiem—woła, klaszcząc w dłonie. To nos naszego ekonoma.

Kazimierz Wichłacz śmieje się z przymusem, zły, że mu się nie udało wziąć Halki nastrojem. Za to uciecha Stefana wzrasta coraz więcej.

— Pani zawsze żartuje—mówi Wichłacz, ale ja się naprawdę stęskniłem za pewnemi oczkami w Wyrwach. Mówię to zupełnie szczerze. Nie widziałem ich przez całą zimę. Pani domyśla się, o jakich oczkach marzę?

— Domyślam się — mówi Halka w poważnym nastroju, biorąc jego zwierzenia na seryo.

Wichłacz oczekuje słów. Wówczas Halka spogląda przez stół na starą, pomarszczoną twarz eksrezydentki i szepce półgłosem do swego twarzysza, niby rozumiejąc sprawy jego serca:

— Mademoiselle Labeille.

Wybucha znów śmiechem, czystym, jak perły. Wi-

chłacz już się nie śmieje. Siedzi zły, zasepiony. Stefan nie posiada się z radości. Obnosi półmiski wesoło. Ukontentowanie jego wzrasta, gdy pan Krzyżtoporski odzywa się do sąsiada:

— Wszelkie ruchy socyalne są u nas godne potępienia z narodowego punktu widzenia. Kraj nasz jest na to za ubogi. Nie jestem przeciwnikiem postępu, lecz każda akcja, pomyślana na szerszą skalę, musi przebyć właściwy sobie okres czasu. Gdy już sami będziemy gospodarzami w kraju, pomyślimy o ustępstwach dla klasy pracującej.

— Tak! tak! szanowny sąsiedzie—podchwytuje rozmówca— wtedy damy sobie z nimi radę.

Stefana interesuje otyła jejmość, którą widzi po raz pierwszy. Dama ta mówi głośno, a mówiąc gestykuluje żywo. Co chwila przykładła do oczu binokle, oprawne w szyldkretową rączkę. Gdy je odejmie, widać z pod powiek zmrużonych bystre piwne oczy. Zwraca się do pani Krzyżtoporskiej z najwyższą pasją w głosie.

— Ja jej każę robić tak, a ona swoje tak. Moja kochana, broń cię Boże przed sługami z miasta.

— Wiem, wiem, jaka się tam szerzy demoralizacya, istna Sodomia i Gomora.

— A to wszystko z braku wiary.

— Co się tu dziwić ciemnemu motłochowi, kiedy ludzie niby to wykształceni, na których edukowaniełożyło się nie mało — tu matczyny wzrok pada na córkę — a i to w poważnych towarzystwach, głośno krytykują księży.

— Straszne czasy. Ja jej mówię tak, a ona swoje tak.

— Te wszystkie aspiracje zemszczą się kiedyś. Pomyśl tylko, miałam służącą, która wieczorem czytywała gazetę. Czy nie lepiej odmawiałaaby pacierze?

Stefan obnosi lody. Podaje jaśnie panience, przy czem pochyła się tak, że nieomal dotyka się jej sukienk. Z pod powiek nieco przymkniętych widzi bujną falę włosów o odcieniu miedzianym, jak się unosi nad czołem, a potem opada ku szyi, zasłaniając ją do połowy. Przejadliwy blask oślepia mu oczy. Nie widzi nic, czuje jedynie jasność promienną wokoło siebie. Wszystkie myśli, całą duszę zagłębia w ów blask.

Wtem do jego świadomości wpadają słowa made-moiselle Labeille.

— Regardez Alinel qu'elle bonne mine a ce garçon.

Halka odwraca oczy ku Stefanowi. Przez chwilę na jego twarzy spoczywa jej błękitne spojrzenie, tak blizkie, że on je wyczuwa przez spuszczone powieki, jak najcudowniejszą pieśczętę. Miesza się, płoni i cofa. Idzie wolniutko do kredensu pod bezmiernym ciężarem wrażenia, idzie, jak złoczyńca, którego uchwyciły śledcze oczy sędziego i wiodą na skazanie. Uciekłyby chętnie do swojej „ciupki“, żeby odetchnąć swobodnie, ale rozlega się dzwonek z pokoju jadalnego i musi powracać.

Halka znów rozmawia z panem Kazimierzem. Śmieją się oboje w wesołej zabawie. Stefan, zaledwie wszedł do pokoju, spostrzega ręce ich obojga, ułożone obok siebie na stole. Śmieją się z własnych rąk. Halka ma dłonie wąskie, długie, z wyraźnem ukostnieniem, przebijajacem przez cienką, błękitnymi żyłkami poprzerywaną skórę, ale palce jej są nieco opalone, nadniszczone, pa-

znogcie półokrągło obcięte. Ręka Kazimierza również nie jest wielka, ale za to tłusta, pulchna i tak wypięlgnowana, że lśni białością. Paznogie długie, wyglansowane, w ostry szpic zakończone. Na palcu mieni się wielki brylant.

— Jakie to biedne te rączyny, takie opalone, spracowane—mówi Wichłacz. Po co to pani wszystko robi?

— Chcę nauczyć się każdej roboty. Chcę wiedzieć, ile się wymaga i czy nie za dużo?

— To rzecz ekonoma.

Chciała Halka coś odpowiedzieć, lecz zaniechała myśli. Pochyliła trochę główkę i patrzy filuternie w oczy swemu towarzyszowi. W sercu Stefana wzbiera gniew.

— Ale pan, panie Kazimierzu, pan ma rękę wykietowaną, jak dama do towarzystwa. A to wstyd, panie Kazimierzu.

Oboje się śmieją. Oczy Halki mienia się blaskiem, stają się ciemniejsze, niż zwykle. Stefan w trwodze, niepojętej dla siebie samego, jest cały w jej wzroku. Widzi teraz, jak Wichłacz przysunął swą rękę do dłoni jaśnie panienci. Nie usunęła się dłoń, nie uciekła od tej towarzyskiej pieszczoty, nie gniewają się oczy, nie oburzają usta. Stefan widzi sznur białych zębów w uśmiechu, oczy, jak gwiazdy błyszczące. Przed jego oczyma mąci się świat, czyjaś ręka okrutna zapuszcza wilcze pazury w jego ciało i szarpie z całych sił. Nie zdając sobie sprawy, co robi, podaje jaśnie paniencie herbatę w ten sposób, że wchodzi między nich i własnym naporem zmusza do rozsunięcia się dłoni. Jest blady i drżący, ale na szczę-

ście nikt tego nie widzi. Wówczas Kazimierz Wichłacz podaje mu swoją wypitą filiżankę herbaty i mówi:

— Proszę, niech mi Stefan naleje drugą.

Zuczek stoi bezradnie i patrzy na tę twarz z baczkami, w złotem pince-nez, zaledwie wystającą z wysokiego, lśniącego kołnierzyka. Bezdenna nienawiść wzbiera mu w oczach. Krew zalewa twarz, skronie, rozlewa się po uszach, na czole pulsuje grubemi, nabrzmałemi żyłami. Nastaje chwila, że wyciąga rękę, by ująć w garść złoconą u brzegu filiżankę i rznąć mu prosto w pysk. Nie wiadomo jak, nie wiadomo skąd, czy z ukrytej komórki mózgu, czy z głębi serca, czy gdzieś z duszy czuwającej, nadlatuje głos i wstrzymuje mu rękę. Jednocześnie czuje na swej twarzy spokojny, wyczekujący wzrok Halki. Opuszcza rękę i cofa się z pomiędzy nich. Wszyscy na niego patrzą z zaciekawieniem, wszyscy ujrzeli nagłą zmianę twarzy. Pod ciężarem spojrzeń, w ślepej bezsilności, Stefan idzie wolno do kredensu. Na progu drzwi słyszy głos pani Krzyżtoporskiej, usprawiedliwiający jego zachowanie się:

— To jest chłopiec dobry, ale dziś nawet prości ludzie miewają swoje fantazy.

Zamyka drzwi cicho. Postawiwszy tacę na stole, wychodzi do ogrodu w stronę jeziora. Tam staje nad wierzbą nadbrzeżną. Jezioro jest ciche, ciemne, zaledwie widać brzegi przeciwne. Wierzba nachyla swe liście do wody. Stefan opiera ramię o pień drzewa, w ramieniu kryje swą twarz. Po chwili słycać szept jego ust: Boże! Boże! jak ja w tem wszystkim wytrzymam.

Czy minęła godzina, czy dwie? Któż policzy minu-

ty życia, gdy serce człowieka rozpacza? Idą w świadomości powoli, jak wieki, to znów w odrętwieniu niewiadomo kiedy przemija czas. Kiedy Stefan Żuczek ocknął się, już księżyc, podobny do kuli spłaszczonej, wisiał nad czarną ścianą przeciwległych lasów. Jezioro pod lasem, brzeg niedaleki były jeszcze ciemne, ale tu przebłyskiwało światło pośród wierzb. Srebrne ich liście wisiały nad wodą, a woda była cicha i rozbłyszczona, choć od nich ciemniejsza. Niektóre promienie przebijały się przez gęstwę konarów i gałęzi i układały się w dziwaczne kształty na ścieżce ogrodu. Jeden z nich olśniewał i trącał oczy Stefana. On to zapewne zbudził go ze snów.

Powoli powłókł się Stefan ku pałacowi. Światła salonów już były pogasły. Pomyślał z ulgą, że się goście rozjechali, Paliła się jeszcze lampa w pokoju państwa Krzyżtoporskich i tam na górze, gdzie czuwa jaśnie panna. Ze ściśniętym sercem z niewiadomych wzruszeń zawrócił nagle od pałacu i poszedł prosto do swego pokoiku.

Tu legł na łóżko, ale sen nie sklejał mu powiek. Przez szyby niskiego okna poczęła się wlewać fala księżycowego światła i szła srebrną drogą do jego nóg. Fala żyła, mieniła się, błyskała i wołała, wołała obietnicą słodką, tęsknotą upojną, nadzieją trwożną. Cały pokój był jej pełen, drżał w oczach i w sercu, że trudno było oczy zamknąć, na łóżku doleżeć. Więc Stefan się zrywa i bosemi nogami, w koszuli, idzie po tej świetlnej drodze ku oknu. Tam otwiera je na rozścież. Ze światłem wlewa się zapach nocy, zapach bzów i konwalii. Drzewa stoją ciche,



zaczarowane. Kapią się ich rozstrzępione czuby w błękicie i w srebrnym półmroku. W dole, po przez ich czarne pnie, widać ciemną smugę rozblyszczonej wody, niby na srebrne łożo ogrodu i lasów rzucony szal królowny.

Stefan siada na ramie okna i patrzy w niebo. Przypomina sobie wieczór dzisiejszy. Jeszcze go gniew chwilami porywa, jeszcze ta twarz w złotych binoklach nasuwa mu prawdę życia przed oczy, ale powoli, coraz silniej, coraz wyraźniej widzi nad światem uśmiech anielski. Przychodzi z dalekich błękitów nieba, po rozpostartych drogach mlecznych, jak wonny sen, jak kształt niewidomy rzeczy aż nadto dobrze znanej. Obejmuje w swe ręce pięściwe oczy, usta, serce, duszę człowieka tuli do marzeń podniosłych, do pragnień, które nie znają kopców granicznych, rozsiadłych w życiu codziennem. Zapamiętywuje się Stefan tej nocy księżycowej. Traci poczucie wzroku i słuchu, traci świadomość bytu na ziemi. Przed nim roztacza się wizya błękitów. Dwie błyszczące źrenice patrzą na niego, jak dwie czarne, odległe gwiazdy na niebie, a niebo, jak oczy, ciche, lśniące, błękitne. Długie, tęskniące ręce idą od nich, jak promienie, ku duszy i nęcą ją i wiodą w nieznanne światy. Opuszcza dusza ziemskie siedlisko, wybiega w głębie nieprzejrzane—a ciało tymczasem wspiera się nieruchomo o ramię otwartego okna.

Idą powoli minuty nocy, powoli księżyc zasuwa się za drzewa, a gwiazdy poczynają mocniej błyszczeć.

Budzą Stefana z zadumy kulejące kroki dziada. Słyszony lekkie stukanie do drzwi, więc wybiega szybko i bie-

rze ze znajomych rąk maleńką, zapisaną karteczkę. Przy świetle zapalki przebiega ją szybko oczyma i spala.

Po chwili stoi ubrany przed oficyną i rozgląda się. Dziada już niema, ale z kąta ogrodu dochodzi króciutki gwizd. Sprężystymi a cichymi, jak u drapieżnego kota, krokami przebiega szybko obok domów zamieszkałych i spuszcza się boczną uliczką nad brzeg jeziora. Tu w zarostach wymacuje swoje ukochane wiosła.

Nie dobra noc — mówi do siebie — za widna i za krótka.

Lecz nie ma czasu do namysłów. W jednej chwili staje się cały, jak wykuty z żelaza. Z ruchu rąk, z wyrazu twarzy bije od niego siła. Za chwilę szumią trzciny, łamane naporem wiosel, a łódka wymyka się z pośród nich lekko na czystą wodę i leci w cieniach nadbrzeżnych sitowi i lasów.

II.

Nazajutrz Żuczek palikował ziemię pod nowe kłomby. Znużony był i senny po całej nocy, spędzonej na jeziorze za granicami Wyrw. Słońce południowe paliło go ogniem i rozbierało pragnieniem snu. Ale zbierał całą siłę woli, żeby robota szła prędzej. Pragnął swoją gorliwością zatrzeć przykre wrażenie, jakie na dziedzicach zrobić musiało jego wczorajsze zachowanie się podczas wieczornej usługi. Sam szybko zatykał kołki i wołał na chłopaka, żeby mocniej dociągał linki.

Podczas zajęcia rozmyślał, jak łatwo może nieopatrzny wybuchem zepsuć swoje plany. Ile to potrze-

ba siły panowania nad sobą, uwagi, zręczności. Przysięgał w duchu, że odtąd będzie niezłomnym i jak kamień nieczułym. Ale podczas składanych sobie przysięg biegła myśl ku oknom pałacowym i stamtąd wracała mniej pewna siebie, osłabiona pragnieniem, które niewiadomo skąd wybuchało raz po raz, że nie pomagały zaklęcia własne, a wszystkie niezłomne postanowienia szły w niwecz.

Rozmyślenia Stefana przerwało nadejście pana Krzyżtoporskiego. Szedł razem z Halką. Serce uderzyło Stefanowi gwałtownie. Stał wyprostowany, a uniósłszy czapkę niewysoko nad głową, dygnął całym sobą.

Pan Krzyżtoporski lubił zajęcia ogrodowe, więc często przychodził na wspólne narady. Stefan chętnie rozmawiał z dziadkiem, ale dziś żałował przedewszystkiem, że jaśnie paniuszka przyszła nie sama. Miał dzisiaj w piersiach pragnień wezbranych więcej, niż zwykle. Chciał ją widzieć bez osób trzecich, jak gdyby oddaną jemu wyłącznie, jego oczom i myślom. Chciał z nią mówić choćby o rzeczach najbliższych, o pogodzie, o kwiatach, które się wysiewa, byle mu nie płoszono nastroju, byle mógł bez zwracania uwagi osób postronnych chłonąć oczyma jej obraz.

Halka dość często przychodziła, gdy Stefan prowadził roboty. Czasem pomagała mu, kopiąc, sadząc, wykreślając linie na ziemi, przygotowanej zawczasu. Stefan miał nadzieję, że i teraz, kiedy dziadek odejdzie, ona z nim pozostanie. Zebrało się tyle w sercu, że ono już pomieścić nie mogło. Więc zaklinał w duszy wszystkie siły, rządzące światem, by mu zostawiły ją samą. Ale da-

remne błagania! Pan Krzyżtoporski dłużej, niż zwykle, rozwodził się o swoich planach, dobierał gatunki kwiatów i traw, obliczał, ile wyjdzie nasienia, skąd je zakupić. Stefana ogarniała rozpacz. Począł umyślnie odpowiadać półsłówkami, by się z jego odpowiedzi nie wywiązywała dalsza rozmowa, ale pan Krzyżtoporski był niewyczerpany. Przechodził to tu, to tam, stawał i znów wiódł dyskurs.

Wreszcie ruszył się dziedzić.

— Haluniu, pójdziesz ze mną?

Chwila oczekiwania. Szalone pragnienie, skupione w oczach, wszystka wola, cała dusza! Oczy, jak magnesy, wbijają się w profil jej twarzy. Już nie włada niemi myśl, że ktoś dojrzy ich wyraz, już na nic wszystkie postanowienia niezłomności, na nic wszystkie zakłęcia, że się będzie nieczułym kamieniem. Jedno jedyne żyje w piersiach zakłęcie, by okuć jej wolę i zniewolić do pozostania. Czyje siły zwyciężą? Kto z bogów nieznanym mu pomoże?

Tymczasem trwoga szarpie serce. Z każdą chwilą oczekiwania słabnie nadzieja. Nareszcie!

— Zostanę — słyszy jej ukochane słowa. Popatrzę, a może nawet pomogę Stefanowi.

— Ale nie siedź długo, bo obiad już prawie na stole.

Została sama z nim.

Stefan uczuwa bezsilność swego położenia. Chciałby z Halką mówić o czemkolwiek, byle słowami wyrzucić ciężar, który przygniatał serce, ale wszystkie myśli uciekły w głąb. Rozniósł je wichur, który się zerwał z trwogi

przed mówieniem. W głowie pustka straszliwa! Ani jednej myśli, ani jednego słowa, któreby mogło nawiązać rozmowę. W bezradności, szarpiącej każdy nerw bólem, bierze kołki do ręki i zatyka je na oznaczonych liniach. A tymczasem chwila za chwilą ucieka, a tymczasem zbliża się pora obiadowa, która Halkę zabierze stąd.

A Halka obojętna i nieświadoma przeżyć Stefana bawi się z małym buldogiem. Ani to ją pociąga, ani to jej zawadza, gdy Stefan mówi do niej, a ona do niego. Bawi się z psiną, która przykolebała się na niezdarnych nogach i ociera się o sukienkę. Mały buldożek przestępuje z nogi na nogę i macha ogonkiem. Halka porywa go na ręce i przyciska do twarzy. Pies robi minę poważną, obwisłe skóry u szczęk nadają szczeniakowi wyraz starczy, ale znać w całej mordzie zadowolenie. Halka stawia go znów na ziemi, a sama cofa się o parę kroków. Pies przestępuje z łapy na łapę, kolebie się i zbliża do Halki. Cóż ją to obchodzi, że Stefanowi wyrzywa się serce? czyż zresztą może o tem wiedzieć? Myśl ma zajęta tem, że psiak do niej dąży, że ona przed nim się cofa, i tak się bawią: ona i psiak.

Tymczasem chwila za chwilą ucieka, tymczasem zbliża się pora obiadu.

Wreszcie odzywa się Halka:

— Czemu to Stefan nie chciał wczoraj podać herbaty panu Kazimierzowi?

Milczenie. Halka właśnie przyklekła i pociąga psiaka za ogon. Śmieje się z komicznej jego miny. Zdaje się nie wiedzieć, że Stefan nie odpowiada. Ale widocznie przypominała sobie, bo znowu pytanie:

— Czy to takie zwykłe humory?

— Nie, jaśnie panienko. Nie mogłem—za nic na świecie nie mogłem!

— Czy pan Kazimierz powiedział Stefanowi co takiego?

— Nigdy w życiu. Nie mam nic do powiedzenia na pana Kazimierza.

— Więc po cóż było robić tyle nieprzyjemności nam wszystkim?

— Niech jaśnie panienska wybaczy. Już się to nigdy nie powtórzy. Przysięgam na wszystko na świecie.

— Ja wiem, że Stefan jest porządny chłopiec, i wierzę mu najzupełniej, ale bardzo chciałabym wiedzieć, co Stefana skłoniło do tej niegrzeczności.

— Niech się jaśnie panienska nie pyta — błagał ją słowami i spojzeniem. Ja nie mogę, nie chcę i nie powinienem powiedzieć.

— Ja myślę, że rodzice Stefana żyli w lepszych warunkach—poczęła mówić z pewnem zainteresowaniem i że dlatego Stefanowi trudno się teraz nakłonić do pospolitych posług.

— O! nie dlatego, jaśnie panienko. Rodzice moi byli prości ludzie. Roili sobie, że mnie wychowają na coś lepszego, ale w domu u nas było ubogo.

— Nigdy Stefan nie wspominał o swoich rodzicach. Czy żyją jeszcze?

— Żyjają, ale nie dla mnie, jaśnie panienko.

— Jakto nie dla Stefana?

— A to...

Urwał nagle.

Jakżeby pragnął odkryć przed nią choć cząstkę swego istnienia. A gdyby wolno, jakżeby pragnął wkradać się do tych codziennych pospolitych rozmów ze swym szerszym światem uczuć. Gdy jej nie widział, ileż to razy układał słowa, któremi do niej przemówi, nic nie znaczące słowa, dalekie od rzeczywistych prawd, a jednak odmienne, jak odmienną była dusza jego od pospolitości otoczenia. Lecz wobec niej słowa zamierały mu na ustach. Ścisłała je żelaznymi ramionami—trwoga.

Jakimże wzrokiem spjrzałaby ona, jaśnie panienka, na niego, ogrodniczka, gdyby odważył się narzucać jej myślom swój wewnętrzny świat! Dlatego odganiał precz myśli, wrzące pragnieniem, pragnienia, domagające się słów. Chciał, by w takich chwilach były jak kamień, rzucony przed wiekami na dno mórz, gdzie oka zdradzieckich sieci mijają zdala jego oślizgłe zielenie.

Dlatego i teraz urwał słowa, choć powinien odpowiedzieć na jej pytanie. Nie mógł się przemódz, by mówić o tem, co żyło w nim, jak ropień niezagojony. Lecz Halka już się zdążyła zainteresować jego opowiadaniem, więc dalej wypytuje, aż wreszcie Żuczek zaczyna mówić.

— Czyż mogło być inaczej? Poczciwe serca, ale ochłodłe w twardych zarobkach, nie mogły tego czuć, co ja czułem. Żyliśmy w zapadłej osadzie. Ja, syn jedynek. Cała miłość dwojga spłynęła na mnie, cała nadzieja we mnie. Odejmowali sobie od ust, wysupłali się z ostatniego grosza, żeby mnie kształcić. Skończyłem cztery klasy gimnazjalne. Chciałem iść dalej. Byłbym już szedł o własnych siłach, ale im było w głowie co innego, mnie co innego.

Przerwał na chwilę mówienie, by odetchnąć od wzruszeń, które mu rozsadzały piersi. Halka siedziała na pieńku drzewa. Łokcie jej oparte o kolana, twarz w dłoniach. Pogodne, ciemno niebieskie, nieomal fijołkowe oczy patrzyły na niego przyjaźnie. Gubił się w ich blasku, jak w południowym niebie. A z duszy tymczasem wywlekał najcięższy ciężar życia.

— Rodzice moi chcieli, żebym został księdzem.

Znów chwila milczenia.

— A Stefan?

— Nie, jaśnie panienko, nie mogłem, za nic na świecie nie mogłem przeciw swemu przekonaniu.

Jak słodko jest mówić o najtajniejszych sprawach ducha do oczu, pochłaniających całe serce!

— Znałem już wiele. My ludzie prości poznajemy życie prędzej, niż bogaci. Patrzałem na życie księży, na ich powołanie, na pobudki, z jakich szli na księży synowie zubożonych chłopów. Jak mało widziałem oddania się siebie. Nigdzie świętego ognia zapału.

— Rodzice nie chcieli ustąpić?—pyta się Halka.

— Pamiętam, jak dziś. Nie zapomnę nigdy. Siwe oczy matki zapłakane, twarz ojca pochmurna, gniewna. A te długie wieczory w milczeniu spędzane. Troje ludzi kochających się, a tak dalekich duszami. A noce, w których wybuchały uczucia, tłumione za dnia. Po co krwawiliśmy rękę w pracy? po co odejmowaliśmy sobie od ust? po co daliśmy ci edukację? Przy tobie chciały wypocząć nasze głowy siwe. Byłbyś panem. Byłbyś szanowany, całowany po rękach, a my przy tobie. Zawiodłeś nas, synu, srogo.

O! jak słodko jest wywlekać swe rany przed oczami, które się miłuje nad wszystko na świecie...

Stefan zaciąga linkę powtórnie. Twarz ma zbieła od wzruszeń. Słyszy znów pytanie:

— I Stefan rzucił rodziców?

— O! nie dlatego. Kazali mi nie pójść do szkoły, nie poszedłem więcej. Kazali mi ciężko pracować ze sobą, pracowałem z nimi. Ale był u nas we wsi nauczyciel. Sterana to była biedota. Nie zapomnę nigdy jego oczu. Paliły się, jak dwa ognie. On mnie nauczył myśleć i żyć.

Zdaleka rozlega się wołanie:

— Aline! Aline!

To mademoiselle Labeille woła na obiad.

Przerywa się złota nić! Stefan uczuwa w sercu uderzenie jej końca, jak gdyby pękła żyła krwionośna. Zalewa go żal i głuchy gniew na życie. Po ustach błąka się skarga przekleństwa.

— Aline! Aline!

O czemu mijasz, chwilo niepowrotna? Dokąd odniosą cię złe duchy życia?

— Aline! Aline!

Halka podnosi się. Budzi się mała psina, która cały ten czas spała u jej nóg z jedną łapką pod głową, z drugą na oczach. Przeciąga się, ziewa i staje na kolebiących się nogach. Halka porywa ją w dłonie, układa na ramieniu i odchodzi.

Stefan patrzy w bolesnem zamyśleniu na jej białą, oddalającą się postać, na pęk włosów pod jasnym kape-

luszem. Widzi złotą klamrę, spinającą niesforne ich skręty.

Głos cichy, głos — szept rozchyła mu usta bezmocne:

— Jaśnie panienko! jaśnie panienko!

Za zielonemi kępami drzew przemyka się biała sukienka, czasem jeszcze w słońcu zabłyśnie różowa parasolka.

III.

Była to niedziela. Słoneczny, południowy dzień.

Stefan włóczył się po ogrodzie. Czuł się osłabionym i zgorączkowanym. Wycieczki nocne, powtarzane dwa lub trzy razy w tygodniu, podkopywały siły, zwłaszcza, że nie chcąc zwracać na nie niczyjej uwagi, nie kładł się na spoczynek, lecz biegł tem gorliwiej do pracy. Po łagodnej wiosnie następowało znojne, duszne lato. Już nie miał dawnych sił. W pracy pot zlewał mu czoło. A i duch jego osłabł. Podczas długich, na wyczekiwaniu spędzanych nocy przychodził głuchy lęk. Coraz częściej, coraz częściej wybuchała w nim tęsknota, krwawymi pazurami wdzierała się w serce, olbrzymiem cielskiem gniotła ku ziemi. Przez jej rozpostarte skrzydła, jak przez złomy węglowych skał, rwały się ogniste języki wzrastających pragnień.

Coraz trudniej mógł znaleźć uspokojenie. Praca fizyczna w ogrodzie odrywała nieco myśli od rozbijałego nurtu uczuć, ale męczył się, gdy ta praca przykuwała go do miejsca. Chciałby biegać to tu, to tam, wszędzie nie-

spokojny, wszędzie poszukujący niewiadomo czego. Rzucała nim z miejsca na miejsce trwoga przed samym sobą. Czuł wyraźnie, jak się w nim dzieje coś straszliwego, jak nieznanne moce wchodzą w jego głęb, niby złe duchy życia. A jego prosta, silna, a gwałtowna natura buntowała się przeciwko tej przemocy. Przywykł był brać wszystko „za łeb“, patrzeć spokojnie w oczy śmierci. Ileż to razy zimną krwią zwyciężał śmierć. A tu od samego początku czuł się bezmocnym, wziętym niezłomnie w twardą obrozę życia. Więc zrywał się w nim gniew przeciw sobie samemu, przeciw tej przemocy, przeciw życiu i światu całemu i gnał go przez długie ulice ogrodu, nad jezioro, obrosłe sitowiem, lub wypędzał w pola i lasy. Leciiał nieraz, jak zrebiec rozhukany, to kładł się na wilgotne igliwie ciemnych lasów i z twarzą, ukrytą w ramionach, leżał bez ruchu. Jakie myśli nim wówczas wstrząsały, któż wypowie? Były to pół—myśli, raczej uczucia, nieświadome swych nazw.

Kiedy był nieco spokojniejszy, chodził do ogrodu i kładł się na znajomej, ukochanej ławeczce. Tu z głową, podpartą na łokciu, leżał nieruchomo i patrzył w dalekie okna pokoju jaśnie panienki. Rozsuwała się w tem miejscu ściana drzew. Duży, zielony, o aksamitnym połysku trawnik. W środku stoi dąb, którego nie obejmie trzech chłopów w około. Kąpie się cały w zieleni traw. Nad ławką ogrodową szumią stare, już nieco próchniejące lipy. Stoją w dali olbrzymie buki i wiązy. Trawniki szeroki, jakby polanka wśród lasów, przemyka się obok nich, wygina się nieco ku jezioru i biegnie do pałacowego podjazdu. Przez to przegięcie, nie widziany przez ni-

kogo, mógł Stefan patrzeć na okna piętrowe, które się wychylały z pośród gałęzi drzew.

W to święto niedzielne, w ten słoneczny, popołudniowy dzień skwarne lata, leżał Stefan na ławce ogrodowej i patrzył. Okna wychodziły na wschód, więc choć upał dokuczał, stały otwarte na rozścież. Mimo dobrego wzroku nie mógł Stefan dojrzeć, co dzieje się tam wśród czterech ścian pokoju. Czuł jednak, że tam jest jaśnie panienska. Wiedział o tem napewno. Przed chwilą przebiegł wszystkie pokoje. Nigdzie jej nie było. Dowiedział się od służby, że poszła do siebie na górę. Dlatego to co prędzej pobiegł pod swoje stare, znajome lipy i położył się na ławce w ich ukryciu.

Czasami mignął mu w oknie cień, więc serce biło, jak młotem. Ale jaśnie panienska nie wychyliła się dziś ani razu. Chciał wszystkimi zmysłami przejrzeć, co ona tam robi, duszą swoją zgłębić, o czem teraz myśli. Nie wiedział, że nieświadomie ona przygotowuje mu chwile szczęśliwego zapamiętania.

Długo tak jeszcze leżał, długo tak czekał, mając duszę we wzroku. Nagle drgnął. Na górze odezwał się klawisz. Odezwał się i ucichł. Po chwili znów się odezwał. Teraz już dwa, trzy, jeden za drugim. Znowu ucichły. Po chwili słychać ciche brzęczenie strun fortepianu. Ni to muśnięcie skrzydeł myśli, ni to westchnienie z głębi stęsknionych piersi. Lecą tony z klawiszów, zaledwie dotykanych palcami.

To Halka zaczyna grać. Gra romans muzyczny.

Dwoje ludzi się kocha. Jego miłość przyszła na świat już bardzo dawno. Przyszła niewiedomo skąd,

niewiadomo jak. Podniosła piersi westchnieniem. Jakże cudownie dźwięczy muzyka tym pierwszym głosem, który się skrada cicho do serca. Lecą tony niepewne, pełne zamyślenia, pełne wahań w przepastnych głębiach człowieczej duszy. Na ustach siada pytanie, jak ptak śpiewający na rozkwitłym kwiecie. Nie umie serce odpowiedzieć własnym myślom, nie umieją myśli przejrzeć własnego serca. Otwierają się oczy trwożne, a radosne. Trwoży je oślepiający blask nowego dnia. Porywa je i unosi w kraj szczęścia przecucie rozkoszy nieznanej.

Czyżby to już miłość była?

Morze się kolebie w swych masach olbrzymich. Raz skacze ku brzegom, wezbrane w swej głębi, to znów odpływa daleko za piaski żółtawe. Cóż serce człowieka? Zanim je burza ogarnie i rzuci na pastwę szalonych pragnień ma ono swoje odpływy i przyływy, ma swoje chwile wahania, w których nikt nie przewidzi, którędy ta burza przeleci, czy serce uniesie ze sobą, czy pozostawi w spokoju.

Jak drży ten klawisz! Zrywa się głos z pod niego, niby grom, zwiastujący burzę. Lecą tony splątane, niby gałęzie drzew, rwane wichrem. Raz się uciszą, to wybuchają z siłą dwakroć, stokroć większą. Ogarniają niebo, ziemię, cały świat. W sercu czuć każdy liść, który drży, w sercu czuć trwożę. Beznadziejna rozpacz targa duszą, silniej, niż burza. Długowłosa tęsknota rozplata swe warkocze, puszczone z wichrem. Szumi wśród szumiących gałęzi głos: o czemu serce me musi się w tęsknotach rwać? O, czemu nikt mu nie odpowie siłą wzajemną? O, czemu miłość ma skrzydlata nie ma potęgę

porwania jej duszy z sobą? O, czemu pożar, który trawi mnie, nie obejmie ogniem pragnienia i jej oczu?

Tak schodzą dnie, tygodnie, miesiące. Tak trwają wieki.

Tam z okna, na piętrze pałacu, spada z pod trącanych klawiszy burza ku zielonym, w słońcu rozpieszczonym trawom. Podnosi się huragan tonów z chwili na chwilę, miesza się z niedzielnym, południowym wy-poczynkiem, jak zgrzyt.

Nagle się ucisza. Dźwięczy jeden klawisz, niby kropla deszczu, jaki spływa z liścia po burzy, która niedawno przeszła bokiem. Dźwięczy jeden klawisz. Chwila oczekiwania. Uchodzące zwały chmur płoną w ogniu słońca. Pod nimi, wśród ciemnych grud ziemi w błękitnem świetle dnia widać drzewa, złane deszczem, widać maleńką wioskę, a za nią dalekie, dalekie ugory i płowe rżyska. Dzieje się coś na świecie, czego nie mogło przewidzieć serce, dzieje się cud. Tam dusza mówi do drugiej: nie byłaś zawsze tak samotną, chodziłam twoimi szlakami, czekając napróżno na twoje słowa.

O! burzo, burzo, czemu nie zabiłaś gromem ludzi w chwili największego szczęścia na ziemi, gdy serca mówią prawdę?

Dźwięczy klawisz niepokojem. Czemu ten niepokój? Dwoje ludzi się kocha. Czy może być szczęście większe? czemu ten niepokój? czemu lecą tony znów splątane? Lecz już nie słyhać burzy. To brzęczą więzienne kajdany.

Czy serca, które się kochają, mogą się zawsze zro-

zumieć? czy nie wybiega jedno naprzód, uniesione wiatrem miłości? czy wówczas nie targa niem trwoga, że znowu jest samo na świecie szerokim? gdzie drugie? zaledwie je widać, zaledwie nadają.

Słysząc głos jego:

— Połączmy się razem. Żyjmy razem.

— Nie mogę, nie mogę. Ja jestem kapłanką ognia. Nie dotkną się moje usta twoich przed końcem świata tego.

— Mówisz, przed końcem świata tego? Cóż to jest świat? To my! Gdy nas nie będzie, zginie nasz świat. Więc zróbmy koniec z nim. Niech wówczas usta twoje dotkną się moich.

— Ależ to śmierć!

— Tak! to śmierć, lecz dopiero po wypiciu do dna kielicha rozkoszy.

— Ja nie chcę jeszcze umierać!

Znów klawisze brzęczą, ale jak kajdany więzienne. Wloką się u nóg żelaza, zakute na wieki. Czy dusza ludzka mocna jest rozerwać obręcz, które opasują świat? Nęka się, rozpacza i rozbija o ściany swej celi.

Nagle noc zapada ciemna, głucha. Na skraju lasów siedzą oboje.

— Przyszłam na twe wezwanie. Dałam ci usta moje. Wypijmy teraz ten kielich do dna, zanim śmierć zniszczy nasz świat.

Zarzuca mu cudne ramiona na szyję.

— Przyszedłeś na moje wezwanie. Dałeś mi usta swoje. Ustami duszę mi swoją dałeś. Czy serce człowieka

może pomieścić więcej szczęścia? Po co wychylać kielich rozkoszy do dna? Niech te krople niedopite zostaną, jak woń niedopełnionych snów. Umierajmy razem!

Pod szalem, rzuconym na nagie ramiona, szuka jej serca. Tu pod dłonią bije serce. Za chwilę wedrze się tędy kula.

Jednak, zanim spełni przeznaczenie, patrzy raz ostatni w jej oczy. Ciemna w około noc. Jeszcze północ nie biła, ale w jej źrenicach wschodzi krwawa luna. Skąd ten blask?

Oboje odwracają twarze ku wschodowi. Z za chmury, która legła bezwładnem cielskiem u widnokregu, wybiegają promienie. Jeden za drugim, chyżo, chyżo, aż dnieje.

— Patrz! Stał się cud. Jeszcze północ nie biła, już słońce wschodzi.

— Czy to dla nas wschodzi słońce!

Lecą tony po klawiszach hucznie. Podniósł się hymn podniebny. Biją, jak dzwonami nadziei . . .

. . . Tak szły obrazy przed oczyma kompozytora, gdy tworzył swój romans muzyczny. Na duszę Stefana spadały dźwięki te, jak zaklęcia. Serce, które prawdziwie kocha, nie może nie mieć chwil złudy. Więc przed jego oczyma szły również obrazy za tonami fortepianu, wleczone ich nastrojem.

Śniła mu się jego własna miłość. Zawarł powieki. Promień słońca przedarł się między rozchylonymi gałęziami lipy i padł na jego przymknięte oczy. Już pierwsze tony ciche, niepewne wywlokły zeń wszystko uczucie. Patrzył ze smutkiem w toń przed sobą, której nie

rozumiał. Za wszystko, co jest w świecie, miało starczyć ślepe pragnienie. Tak snił swój ogrom uczucia, większy, niż jego serce.

Aż nagle uderzyły klawisze tonami burzy. Zerwał się i siadł na ławce. Wydało mu się, że to hasło do boju. Już znika ta chwila, w której uczucie było wszystkim, i obrazem i myślą. Przelatuje przez głowę wizya wielkich spraw. Serce, które prawdziwie kocha, nie może żyć bez złud.

Jaśnie panienska w niebezpieczeństwie! Szerokimi ulicami miasta żandarmi wloką ją w kajdanach. Obok krokiem miarowym idzie piechota. Lśnią w słońcu ostrza bagnatów. Środkiem z rękoma zakutemi, w podarowanych łachmanach więźnia: jaśnie panienska! Idzie i rozmyśla: któż mnie ocali? któż wyrwie z rąk carskich siepaczy? Chyba on jeden na całym świecie, on, któryby wyjął z paszczy lwa.

Stefan zwołuje swoich towarzyszków. Biegają różnymi ulicami, pojedynczo, po dwóch. Spokojne, weselne ich twarze, choć za chwilę czeka ich śmiertelny bój. Tylko w bocznych kieszeniach po dwa brauningi i zapas ładunków. Jeden niesie bukiet kwiatów, pewnie dla narzeczonej, bo niesie go ostrożnie, jak relikwię świętą. A drugi niesie bochenek chleba, pewnie dla starej, zgłodniałej matki, bo niesie go ostrożnie, by mu nie upadł na ziemię.

Na rogu ulic krzyżujących się spotykają się twarzą w twarz. Dwie długie kolumny żołnierstwa. Pośrodku żandarmi na olbrzymich, czarnych koniach. Ich garstka, zaledwie dziesięciu.

Dany znak. Kwiaty, przeznaczone dla ukochanej, rozsypują się nad głowami żołdatów. Za chwilę słychać trzask łamiącej się ulicy. Ze słupem dymu wylatuje bruk. Rozrywa się szeroko koło lśniących bagnatów. Krzyk przerażenia i jęk. Złowrogo brzęczą szyby wybijane szczątkami ciał ludzkich.

Zaledwie przebrzmiał huk, już się rozlega drugi silniejszy. To chleb, przeznaczony dla matki zgłodniałej, pada do nóg żołnierzy. A potem zaraz salwa za salwą. Spadają z koni żandarmi, wali się na ziemię piechota, a panienska już wolna! Tylko pewna część żołnierzy, nietkniętych jeszcze pogromem, formuje się szybko i staje pod ścianami domów z bronią do strzału. Stefan widzi niebezpieczeństwo. Woła na dwóch towarzyszy. W mgnieniu oka chwytają ją i unoszą na żandarmskich koniach. On z resztą rzuca się na lśniącą ścianę bagnatów. Nim mogli dać salwę, już huczą brauningi, przykładane do ich piersi, już rozwalają im skronie. Jedni leżą na ziemi, drudzy broń rzucając, wołają o zmiłowanie.

Czas już uchodzić, zanim nadciągną świeże oddziały. Stefan rozgląda się po pobojowisku. Daje znak. Rozlatują się towarzysze. On sam widzi jeszcze jednego żandarmskiego konia. Trzyma go za uzdę młodzieńki żołdat. Już palec na cynglu. Za chwilę będzie żołnierzyk bił nogami o krwawy bruk ulicy. Ale to dziecko w szynelu carskim patrzy na niego niebieskimi niewinnymi oczyma. Cóż ono winno? Opada ręka z brauningiem. Lewą ręką wrywa mu Stefan cugle, skacze na konia i wali po boku twardą rękojeścią broni. Dusza się rwie,

by dognać jaśnie panienkę i wołać do niej: to ja ciebie wydarłem z ich rąk!

Lecz cóż się to dzieje? Koń, zerwany wędzidłem, wspina się łapami do nieba, a Stefan zsuwa się bezwładnie na bruk ulicy. W piersiach rozkosz ciepła. Oczy słabnące odwracają się ku poboju. Widzą, jak młodziutki żołnierz trzyma karabin jeszcze wycelowany. Uśmiecha się do swego celnego strzału.

Oczy zachodzą mgłą. Widzą nad sobą dwóch najwierniejszych towarzyszy.

— Uchodźcie coprędzej. Zostawcie mnie. Ja i tak umrzeć muszę...

Krew się rzuca ustami. Słowa więzną w gardle.

— Powiedzcie jej, że ją jedną, jedyną na całym świecie...

Gdy Halka urywa grę, w głowie szumiącej Stefana jedno okrutne pytanie: gdybym zabił się dla niej, czyby uwierzyła, jak straszliwie ją kocham? Zrywa się Stefan i ucieka w lasy. W piersiach tłucze mu się serce, które się jeszcze nie może pozbyć nadziei.

A Halka? O czym myślała, grając swój ulubiony romans? Czy przysły jej na myśl te wrażenia, które przelatują po twarzy Stefana pod jej spojrzeniami? Czy przypominała sobie, jak lubieżnie w chwilach rozmowy spogląda na nią z pod złotych pince-nez pan Kazimierz? Czy też dusza jej, daleka od spraw ziemskich, rwała się w nieznanne światy?

Któż kiedy odgadnie serce kobiety?

IV.

Miał sen. Często, wśród nocy gorączkowo spędzanych, przychodziły sny, ale były niewyraźne, niby wizye, splątane ze sobą w chaos. Budził się z nich i z ciężkim bólem głowy spieszył do pracy.

Ale ten sen był jak początek nowego, wewnętrzznego życia.

Stał nad uspioną wodą jeziora. Tak mu się śniło.

Oparł się o płaczącą wierzbę i patrzył na jej zwieszone liście. Już mrok zapadł, a jeszcze księżyc nie wschodził za dalekim lasem, więc woda jeziora i drzewa nad wodą ciemniały z każdą chwilą. I jego dusza zapadała w zmierzch.

Wtem, tylko śnić tak cudownie można, przyszła do niego Halka. Bez słów, bo po cóż słowa, gdy cud się ma stać, kładzie swe rękę na jego ramionach. Oczy jej lśnią błękitem pragnienia. Wokoło głowy włosy jej palą się płomieniami. Nachyla swą twarz i podaje usta. Dotykają się ich usta. Z początku lekko, jak muśnięcie skrzydeł motyla. Prawie, jak sen, prawie, jak marzenie. Zaledwie czuć płatki jej ust na wargach. Wydaje się, że to wargi wargom coś szepcą, że podają sobie pieśń miłosną, że mówią o zapowiedziach szczęścia.

Tak uchodzi chwila za chwilą. Usta zwierają się mocniej. Wywleka się z duszy na jaw wszystka rozkosz, istniejąca nieświadomie w jej głębiach. Na wargach słodki ból. W skroniach, w sercu, we wszystkich tętnach bije krew. Podnosi się szal upojenia do granic, dotąd nawet myślą nie objętych. Omdlewa świadomość życia na gra-

nicach tego świata, a otwiera się przed oczyma kraj z innej ziemi.

Jej usta, jej usta . . .

Tak uchodzi chwila za chwilą. Usta, zawisłe na ustach, odczuwają rozkosz coraz większą. Niema końca, niema końca rozkoszy tej. To chyba już śmierć. Jedna tylko śmierć jest równie silną.

Budzi się Stefan. Wargi go bolą od pocałunków, długich nieskończenie. Pod powiekami radość widzenia wiosny, która przyszła z uśmiechem fijołków i gorącym promieniem słońca oblała twarz.

Budzi się Stefan i przeciera senne oczy. Myśli z żalem niewysłowionym: o! czemu odeszłaś tak prędko w mój śnie? czemu me ramiona nie mogły cię dłużej, nie mogły cię na wieki zatrzymać? czemu to sen był tylko?

Ale Halka nie odeszła ze snu, jak to ludzie odchodzą w różne drogi życia. Został po niej w jego duszy ślad rozkoszy, przeżytej we dwoje, i żył każdej chwili dnia. Do jego uwielbienia poczęło się saczyć pragnienie, nieznany dotąd gość. Coraz częściej, ile razy ją widział, zatapiał w jej twarzy chciwe źrenice. Nadewszystko, nad duszę jej, pokochał ją całą.

Czasami Halka pochwyciła wejrzenie jego oczu. Coś, niby zdumienie, niby lśnienie gniewu, niby radość tryumfatorska, niby uśmiech dziecka, które nic nie rozumie, przemykało przez jej pogodną, błękitną spojrzenie. Nie mógł Stefan nigdy wyrozumieć jej wzroku. Ginał w nim z trwogą, by się jego oślepiłe serce samo nie wydało. Rozumiał instynktem, że z chwilą ujawnienia się

jego uczuć, otworzy się między nimi przepaść jeszcze większa.

Począł zwracać uwagę na siebie samego. Przedewszystkiem chciał opanować wyraz twarzy. By nie być zniecierpliwionym na palących się płomieniach oczu, opuszczał powieki nawet w tych chwilach, w których Halka nie patrzyła na niego. Lecz, że nie mógł już żyć bez rozkoszy wpatrywania się w jej cudną twarz, poczynił sobie podstępnie, a chytrze. Oto wyczekiwał na chwile, w których był już wolny od podawania do stołu. Halka w towarzystwie rodziców, mademoiselle Labeille, gości, bawiących w Wyrwach podczas lata, siadywała często wieczorem po kolacyi przed domem na werandzie, pokrytej góry żaglowem płótnem. Dach wspierał się na lekkich drewnianych słupach, a po słupach pięło się dzikie wino ku górze, zarzucając swe zielone, szorstkie łodygi, swoje palczaste liście aż na spadki dachu. Weranda była oparta o okna domu, dwa jej boki otaczały ściany drewniane, nie wyższe nad biodra człowieka, przejrzyste, zbite z cienkich, na krzyż ułożonych łąt. Wzdłuż tych ścian stały schodki wąziutkie, a na każdym z nich doniczki z kwiatami. Szerokie liście begonii, żółte i purpurowe kwiaty nasturcyi, precudne pelargonie, asparagusy zakrywały ramę niewysokich ścian. Schodziło się to różnobarwne kwiecie z owiniętymi dzikiem winem słupami werandy, tworząc kwadraty z kwiatów i liści, niby okna z żywej zieleni, przez które widać było, co się na werandzie dzieje.

Tu jadano zwykle podczas lata. W ciepłe wieczory paliła się długo lampa, zanim się towarzystwo nie roze-

szło do siebie. Z tych chwil Stefan korzystał. Zakradał się do ogrodu i cicho, bez szelestu wsuwał się między grupę świerków, rosnących tuż przy werandzie. Stojąc w ciemności, nie widziany przez nikogo, zamieniał się cały we wzrok.

Szczęście jego nie miało granic, gdy Halka siadywała w ten sposób, że blask lampy wiszącej padał na jej twarz. Wówczas przez okna, utkane z kwiatów i pnących się liści, oświetlone z jednej strony, a z drugiej ginące w cieniach ogrodu, przez te wyloty z żywej, drgającej zieleni patrzył w jej oczy. Lśnił pogodny błękit pod ciemnymi frendzlami jej rzęs. Ile razy zwracała swą twarz w rozmowie, oślepiały się oczy Stefana. Nie mógł znieść ani tego nagłego połysku, ani uśmiechu, który rozchyłał usta, ani ruchu głowy, nad którą unosiły się ciemne o miedzianym połysku włosy. Były chwile, że zasłaniał dłońmi swą twarz, jak przed słońcem, kiedy w południowym upale wyżera źrenice. Potem odejmował dłoń i znów patrzył. Najwięcej lubił, gdy Halka czytała książkę. Nachylała się nieco jej cudna głowa, wspierała o wydłużone palce dłoni. Na dużym, wyniosłym czole, lekko sfałdowanym od wysiłku myśli, zalega zamyslenie. Małe, żywe usteczka zdają się brać udział w czytaniu. Oczy, nieco zasłonięte, wydają się głębia. Wszystko w tej twarzy żyje jej promienną duszą.

Stefan osiadał myślami na każdym szczególe. Czuł, jak ukochane mu są jej oczy, usta, włosy. Nawet ta dłoń biała, wspierająca głowę, wydawała się czemś niepojętem w nadmiarze uczucia. Zatapiał w jej uśmiechach, to

w każdym jej ruchu oczy stęsknione, zapamiętywał się i zapadał w jej głąb'.

Stawał całemi godzinami, ukryty w gałęziach świerków. Nigdy nie było mu dość tej dzikiej swobody patrzenia, tej pieśczozy, którą sam sobie wymierzał. Nikt nie mógł przyjść i zabronić, żeby nie oddawał duszy rozkoszom widzenia jej. Nie mogła jaśnie panienka spojrzeć wyniośle za to, że śmiał. Był sam, wolny, wokoło noc, a w piersiach serce płonące.

Ale pomimo wytężonej uwagi, jaką nad sobą samym roztaczał, nie ustrzegł się przed zdradzieckimi siódmami, które serce zastawia na człowieka spragnionego szczęścia. Gdy raz w rozmowie powtarzał ze szczególnym akcentem te dwa ulubione słowa: jaśnie panienko, spytała go Halka z wybuchem śmiechu:

— Czemu to Stefan wymawia: jaśnie panienko, tak zabawnie?

Nie namyślając się, zaskoczony znienacka, odpowiedział:

— Bo to są jedyne słowa, które mi wolno szczerze mówić.

— Jaśnie panienko? Cóż w tem takiego osobliwego?

— A bo jaśnie panienka jest taka jasna.

— Ja? Przecież włosy mam ciemne—mówiła z uśmiechem jeszcze lekkiej kokieteryi.

Stefan zbladł. Każda kropla krwi spłynęła mu z twarzy. Zaledwie wymamlał:

— Ale dusza taka jasna i w mojem sercu także jasno.

Halka spoważniała nagle i urwała rozmowę. Odtąd stosunek ich stał się o wiele trudniejszym. Miała dla niego słowa zawsze pełne życzliwości, ale już ostrożne i niepewne. Unikała przedewszystkiem pozostania sam na sam. Ogarniał ją przed takim widzeniem się lęk. Wprawdzie nie obawiała się zwierzeń, rozumiejąc aż nadto dobrze, że Stefan nie odważy się wyznawać jej swych uwielbień, ale bała się jego wzroku i jego myśli. Ileż razy uderzał ją oczyma silniej, niż wyznaniem. Ileż razy widziała, jak w jego sercu kłębią się pragnienia, trzymane na uwięzi niewolniczą ręką. Była, jak młoda dziewczyna, której bosc nogi mogą być pokłute przez kwiaty. Więc odrzucała je precz, nie litując się nad nimi.

A życie Stefana stało się niewymownie ciężkie. Znikły niepowrotnie dawne, jak obce światy odległe chwile w pół-pryjacielskich rozmów, które płynęły z jej anielskiej dobroci, jak z nieprzebranych źródeł. Poczęła się wokoło zacieśniać żelazna obręcz, wykuta z przesądów światowych i ze skrupułów, które życie tworzyło. Zjawiała się raz pierwszy — tęsknota. Przyszła za owym dawnym swobodnym stosunkiem, za owemi chwilami, w których Halka przestawała sam na sam ze Stefanem, jako z sympatycznym jej ogrodnikiem. Teraz, kiedy poczęła go unikać, zerwała się w jego piersiach burza pragnień. Przyszła, jak szal.

Nie umiał nawet zdać sobie z tego sprawy. Czuł jedynie, że się dzieje coś straszego, że życie wyrządza mu krzywdę niezasłużenie. W piersiach nosił chaos uczuć sprzecznych, gniewu, miłości, buntu, przekleństwa, to znów zaparcia się siebie samego. Nie mógł go uciszyć.

Daremnie zbierał myśli z wytężeniem. Jakiś zły duch życia zacieśniał wokół niego obręcz. Czuł nadewszystko tę obręcz, niby mur skalisty, o który rozbija się serce. Nie przedrze tego muru bezbronna ręka. Silniejszy on jest, potężniejszy, niż jego wola.

To znów czuł się jako zwierz pustynny, wzięty do klatki. Ciasno mu było, straszliwie samotno. Gdzież wichry przestrzenne? gdzie wielkie oazy, po których przebiegał myślą, gdy był swobodny? Oddałby połowę duszy za nie. Przed nim krata tej klatki. Daremnie ręce się silą, by ją rozerwać. Co to jest to życie? — wołał w szaleńczym wybuchu rozpacz. Na co ci człowiecze tułać się bezdomnie? żyć bezimiennie? na cóż ci ginąć w lochach więziennych dla złudy? Któż ci odda chwile stracone? Któż je policzy?

Zrywał się do pracy i biegł na znajome ścieżki szukać jej stęsknionemi oczyma. Od jakiegoś czasu Halka przestała siadywać wieczorami ze wszystkimi. Chodziła do siebie na górę. Przybyło więc nowe, twardsze ogniwo żelaznej obręczy. Wybuchnęła tęsknota stokroć większa, niby płomień dawno nagromadzonego stosu dREW. Nie wiedział, co z nią począć, jak ją w sobie zabić, z kim walczyć i o co. Walił się często na mokre nadbrzeżne piachy i gryzł z wściekłości palce. Nie pomogło nic. Nic nie mogło odsunąć przeznaczenia, które szło wolno, a nieubłaganie. Spełniały się czyjeś wyroki nad młodem, jeszcze nie zobojętniałem sercem.

Całe to lato wydawało mu się snem okrutnym. Wołał do ludzi, by go obudzili ze snu. Sam się podnieść nie może. Nie może zapomnieć i nie może się bronić.

Lecz sen się nie kończył. Upływały godziny, z godzinami dni, a nikt go nie budził. Czyżby to był sen bez końca? czyżby człowiek był na wieki bezbronny? czyż się już nigdy nie skończy męczarnia?

On, który miał pamięć, jak klisza fotograficzna, utrwalająca wypadki dnia, nie pamiętał dobrze przebiegu czasu w Wyrwach. Pytał się nieraz sam siebie, kiedy tu przybył, jak długo był? Czy nie wiedział, czy nie pamiętał? Zdawało mu się, że to były wieki, to znów, że to było wczoraj. Halka ginęła z jego świadomości. Była kiedyś inna. Jakiś promień słoneczny snuł się po niebie. Teraz niebo zaszło chmurą.

Ach! jakżeby pragnął, by go zbudzono ze snu!

Nie przeczuwał, że już nadchodzi chwila, w której go zbudzą aż nadto okrutnie.

V.

Jezioro było ciemne. Wicher odległy przeganiał po niebie skłębione obłoki. Biegły chyżo, jedno za drugim tak blisko siebie, że nie było widać błękitu. Tylko chwilami, gdy się rozrywała ich ciemna opona, ukazywał się nagle księżyc jasny, rozświecał strzępiaste mgły srebrnym światłem, i przepadał wśród obłoków, goniących bez wytchnienia. Wówczas jezioro raz po raz wyblyskiwało z ciemności nocy. Rozjaśniały się fale drobne, ruchliwe, niby żywe srebro, otwierała się szeroka, daleka powierzchnia wód głębokich, a lśniących. Ale były to krótkie chwile. Zaraz potem zapadał na długo półmrok

nieprzenikniony, że trudno było dostrzedz sitowia i łódkę, przemykającą się wśród nich wolno, a ostrożnie.

Stefan odbył już dziś długą drogę. Wyrwy pozostały daleko za lasami i za wodami, pozostała w tyle struga nie szeroka, która jezioro Wyrwiańskie, podobne z kształtu do oka ludzkiego, łączy długą, krętą, kępami traw pozarastaną taśmą z większem, szeroko rozlanem jeziorem Majdan Zaleśnych. Stefan jest sam w łódce, ukryty w mroku, zasłonięty trzcina. Jedno wiosło położył na dnie łodzi, drugim, siedząc na ławeczce, odpycha się od mielizny jeziora. Czyni to jak najciszej, a jednak słyhać raz po raz plusk kropel wody, opadającej z wiosła, i szum rozchylanej trzciny. Miękkie, ciemne, osliżgłe badyle kołyszą się pod naporem łódki, zwieszają się tu i owdzie, dotykając się rąk i ramion Stefana. On stara się z całych sił przejrzeć mrok nocy, by ominąć ich zdradzieckie dotknięcia, ale omija daremnie. Sitowia w ciemnościach nocy wyrastają przed nim nagle, a niespodziewanie, jak ściana wojsk, że musi się z trudem między niemi przepychać.

Nad brzegiem rośnie las. Pod jego to zasłoną Stefan płynie. Dlatego tu na wodzie u brzegu jest ciemniej i ciszej. Nie dochodzi prawie żaden powiew. Ale u góry las wysoki, nieomal masztowy, huczy gałęziami od wichrów, przelatujących po jego wierzchołach. Gdy u dołu potężne w swych pniach, stoją ciemne chojary, gdy zaledwie gibocą się wysmukłe ich, bezgałęźne linie, na czubach gną się płachty iglastych gałęzi, nachylają się uderzają jedna o drugą, to znów podnoszą się, niby ramiona do rozmachu, i znów opadają w dół. Głębia la-

su cicha, wierzch jego pełen szumu, huku, skargi do wody, swej siostry odwiecznej, z którą wspólnie wypłakują nocami swą dolę, czy niedolę, gdyż i woda zdala od lasu marszczy się, porusza i szumi.

Stefanowi utrudnia wyprawę ten łoskot tłukących się w górze gałęzi. Zagłusza on wprawdzie tarcie się łodzi o wyrastające sitowie, lecz nie pozwala zawczasu usłyszeć szelestu kroków lub gwaru rozmów kręcącej się straży pogranicznej. To też Stefan zatrzymuje się często i słucha z natężeniem. Ani jednego głosu z głębin boru. Śpi w nim tajemnica zamarych przeżyć, które targały ludźmi, chroniącymi swe głowy przed mieczem najezdcy. Ileż to razy na tem pograniczu rozlegał się huk, dymiły żelazne rury strzelb, czy karabinów; ileż to razy trójkątny bagnet zanurzał się w piers. Szedł przez głucho bory jęk, zmieszany z palbą, przeciągał z dymem z miejsca na miejsce i, jak ten dym, rozchodził się w mrokach lasu i ginął. A bór stał, jak przedtem, spokojny, nie mówiący tego wszystkiego ludziom, którzy go nie chcieli, czy nie umieli słuchać.

Stefan pogrążył się w myślach nad temi głowami tułaczami, ściganymi gniewem okrutnej przemocy. Przemykały one tędy ku wodom, ku bagnetom grzązkom, chyłkiem, nocami, byle ująć pogoni. Kładło się biedne serce u korzeni drzew, by chwilę odpocząć, tłukło się w piersiach, oszalałe z trwogi, a wokoło niego skradały się oczy szpiegowskie, złe i szydercze. Las w ciemnościach milczał. Gdy potem wicher pogubił ostatnie jęki, las począł szumieć swoją odwieczną pieśń, rwącą się z chmurami na wschód i zachód świata, polską pieśń rozpacz-

nej niewoli. Minęło lat czterdzieści i dwa, a Stefanowi się zdaje, że jeszcze słyszy głosy z pod ziemi, że mu się skarżą, że wypowiadają swe męki. Słyszać chrzęst bagnetu w kościach człowieczych.

Serce się ścina z gniewu. Na usta spływa po tysiąc-kroć razy ponawiana przysięga.

Szczęśliwie dla Stefana, kto wie, dla kogo szczęśliwiej, że się tak zapamiętał, że nie ruszył łodzią, ani nie drgnął wiosłem. O parę kroków od niego zabłysło małeńkie światełko. W pierwszej chwili Stefan pomyślał, że to robaczek świętojański, lecz światło było zbyt czerwone i posuwało się dość szybko brzegiem lasu. Stefan natychmiast skurczył się, zmałał, przypadł do dna łodzi. Teraz, leżąc, wychylił wierzch głowy. Usłyszał ciężkie stąpania. Dwóch idzie razem—wymiarkował z odgłosów. Cicho i niepostrzeżenie sięgnął do kieszeni i wyjął brauning.

Przechodnie zatrzymali się. Czy spostrzegli łódź w trzcinach? czy tu był koniec ich wędrówki? Stefana serce biło, jak młotem. Nie z takim uniesieniem myśliwy czeka na dawno upragnioną zwierzynę, jak Stefan, choć sam ścigany, sposobił się do gwałtownej rozprawy. Jeżeli mnie dojrzą, wyskoczę z łodzi i pierwszy będę strzelał—rozmyślał z tajoną rozkoszą. Dwóch ich tylko. Huk strzałów zagubi się w lesie, a echo? Ileż to razy rozlega się po nocy ginące echo strzałów. Lecz przechodnie zapewne nie widzieli łodzi. Stali w milczeniu, pociągając papierosy i spluwając w wodę.

— Psia służba—mruknął zachrypły głos.

— Otl nam przyszło pełzać po ciemnym lesie, po mokrościach i bagnach, że z nogą nie wyleziesz.

— Czort ich weź szwarcowników zakamieniałych.

— A ty nie łaziłbyś, jakby ci żyd, sobacza mać, dobrze płacił?

— Coby nie?

Znów milczenie. Poczęli łazić nad wodą tu i tam Często przystawali. W ciemności lasu nie było ich widać, jedynie ogień papierosów wskazywał miejsce ich pobytu. To znów mamrali coś do siebie. Trudno było dosłyszeć, bo wiatr rozganiał słowa. Zaledwie niektóre dźwięki Stefan mógł uchwycić.

— Słysz, bracie! widział ty dziś łódkę?

— Co miał widzieć?

— Jeszcze nie płynęła.

— Popadłaby ona w ręce moje. Dał jabym jej.

— Cobyś jej dał? Płynie ona środkiem wody, a ty tu stoisz, jak kura nad wodą, a do kacząt nie możesz.

— A czy to u mnie ruźja nie ma?

— Tak ci to, bratku, mówić. Strzelał ja do niej nie raz, nie dwa. Kule płasają po wodzie, to tam, to sam, a żadna nie trafi, a ona płynie i płynie. Potem przepadnie w wodzie, jak kamień. Nie ma rady na nią.

— Ale musi być, co w niej siedzi. Sama nie płynie

— Czort czy pies? Nie mogę znać. Nie boi się kuli. Płynie paradnie, jak na wojskowe święto, ani chyżej, ani spokojniej. Tam złe w tej łodzi.

— Durak ty! Już ja ją ściagnę.

Znowu milczenie, tylko buciska kłapią po mokrej ziemi. Stefan niecierpliwi się. Uchodzą minuty nocy,

uchodzą kwadrans. Potem będzie zapóźno. Więc zastanawia się, czy nie lepiej do nich wyskoczyć i strzałami przerwać wyczekiwanie. Czeka jednak cierpliwie.

— Słysz, brat! — odzywa się znów jeden z wartowników — pójdziem dalej. Tam można lepiej widzieć łódkę.

— Nu, dobrze,

— A przeżegnaj się, jak będziesz miał strzelić.

Poczęli oddalać się miarowym krokiem. Stefan bezzwłocznie podniósł się, usiadł na ławeczce w czubie łodzi, poczem zanurzył wiosło w wodę, oparł je o dno i przepychał się niem pomiędzy sitowiem. Płynął w ten sposób za wartownikami. Klapanie ich butów i gwar rozmowy tłumiliy lekki szelest sitowia.

W pewnej, upatrzonej chwili Stefan skrzył łódkę na głębię jeziora. Założył oba wiosła na haki, zanurzył ich pióra w wodzie i począł gwałtownie pracować. Noc mu sprzyjała. Czarne, ciężkie chmury zawaliły sobą księżyc. Szedł od niego zaledwie słaby pomrok, kładł się na wody ruchome, na łódkę i szarą postać Stefana. Łódka leciała jako ptak, który przypadł nad wodą na skrzydłach rozwiniętych, i niesie go rozmach, tam w górze pod chmurą nabrany; leciała niewidzialna, zwłaszcza z brzegu nie mógł jej nikt dojrzeć. Stefan wiosłował radośnie. Wypatrzyta wasze ślepie—śmiał się w duszy do żołnierzy, pozostałych w lesie.

Nagle wiatr rozegnał chmury. Księżyc wyjrzał, ni by przez okno otwarte, przez szeroko rozsunięte obłoki, oblał blaskiem jezioro, że się wydało jasne, jak w dzień, rozświecił łódkę, że mogły ją oczy oglądać choćby z brze-

gu najdalszego. Stefan natychmiast zwolnił biegu. Płynął, jakby odniechcenia, bez wyraźnego celu. Raz po raz unosił wiosła do góry i zatrzymywał nad wodą czas dłuższy, że łódka zwalniała biegu. Potem znów zanurzał je w głąb' ciemnego jeziora, znów trzony ich ściągał ramionami ku piersiom, nadając łódce z powrotem mocniejszy pęd. Tak bawiąc się, posuwał się jednak dość chyżo ku stronie przeciwległej.

Żołnierze nie długo kazali na siebie czekać. Rozległ się strzał, a kula plusnęła po wodzie niedaleko łodzi. Jeszcze się echo nie uciszyło, a już drugie światło zabyło za jeziorem w ciemnym, dalekim lesie. Wstrząsnęły się ściany drzew, pobiegło drugie echo kołem, kołem nad wodami, wiatr, chyżo wiejący, poniósł je pomiędzy szuwary nadbrzeżnych bagien, aż zamarło ono na chwiejących się trzcinach.

Dopiero trzecia kula trafiła w burtę łodzi. Oderwała się długa, biała drzazga od kantu i sterczała w nocy rozbłyszczonej, niby sztylet, godzący w serce człowieka. Stefan rozmyślnie wypuścił z rąk wiosła. Daleką miał jeszcze drogę do swego brzegu, za daleką, by ratunku szukać w ucieczce. Zaalarmowanoby natychmiast straż liczniejszą, odkrytoby może całą sprawę. Czekał spokojnie swego losu, rozbawiony przygodą. Rozmyślał o tem, co słyszał z ust żołnierzy. Trafią teraz, czy nie trafią—powtarzał sobie.

Spojrzał wysoko ku niebu. W ciężkiej powłoce chmur, na niewielkim skrawku otwartego nieba jaśniał księżyc. Stefanowi się zdało, że księżyc, niebo głębokie i te szare, od środka rozświetlone chmury lecą razem

w przestrzeń daleką, gnane wichrami, które je szarpia i pędzą przed sobą. W obliczu śmierci, wobec roztwierającej się przepaści niebios, w jasności światła księżycowego, po jego drogach niezbadanych, uniosła się dusza Stefana, pełna promieni. W nim całym jedno jedyne uczucie, wypłynęło z serca, jak obłok: westchnienie ku niebu.

W tem znowu po niebie lecący wiatr poderwał gwałtownie chmury, spiętrzył je, zwałił, jak kupę ciemnych płacht, prosto na bryłę księżyca, że się zakrył błękit, a stała się odrazu ciemna noc. Zginęły światła na wodach, przepadły w mroku dalekie brzegi leśne, a łódka zniknęła, jak w czarach. Stefan się zaśmiał, głośno i długo. Złodzieju żołdacki! pewnie ci strach podnosi czapę na głowie—chichotał wewnątrz. Chwycił wiosła. Wygięły się w łuk w ciemnem jeziorze, a łódka lekko wyplusnęła z wody i poczęła orać fale co tchu, byle w ciemności dobić do celu.

Płynie się kręto między trzciniami, pośród bajorów grzązkich, obrosłych szuwarem. Jest zatoczka nieznaczną, zasłonięta szczerlnie przed ludźmi. Leży tam kłoda olszyny, zwałonej niegdyś burzą w odmet błota. U tej kłody zwykł był Stefan wiązać swą łódkę, a wiosła chować starannie w kępach traw. Tu czuł się bezpiecznym przed wzrokiem strażników. Ciągnęły się bowiem bagna na milę długie, lepkie, przepadziste, obrosłe kępami traw, gdzieniegdzie przeświecała z nich woda, tworząc oka niewielkie. Tędy kiedyś uciekali powstańcy polscy. Których nie powaliła kula, których nie wykłuł bagnet, ginęli w bagnach śmiercią powolną, okrutną. Podobno, któż dzisiaj wieść sprawdzi, rozlegały się dni pa-

rę jęki, krzyki, nawoływania, zanim nie zginęli wszyscy, co do jednego. Na granicy błot stały spokojne, z radością w twarzy czaty żołnierskie, stały tak długo, aż ostatni jęk zamarł. A tylko, co który odważniejszy chłopina okoliczny, przedzierał się przez szuwary, po grząskich opielach ku jękom i prośbom o zmiłowanie. Dwóch nawet przepadło bez wieści, lecz inni wracali objuczeni butami, spencerem, czapą; coniektóry niósł szablę zdobyczą, a nadewszystko flintę ładowną. Śmieli się z uciechy. Opowiadali, jak im topielce wieszały się u nóg, a oni buciskami spychali je w topiel.

Tą drogą polskiej niedoli szedł Stefan w każdej swej nocnej wyprawie.

Od owego czasu błota podeschły, lecz topiele były jeszcze głębokie, trawami słabo zarosłe. Pod nogami ugiął się i bujał bajor, niby mdła powłoka lodu na wodach, świeżo ściętych. Trzeba było starannie wybierać miejsca więcej zamocnione i kępy wyrastające, które mogły utrzymać ciężar ciała; trzeba było iść ostrożnie, pewną nogą, by się nie ześlizgnęła w lepkaż.

Szumno tu było i ciemno. Wiatr poruszał szuwarem, a niezliczone stada cyranek zrywały się z łoskotem skrzydeł, niby chmura podniebna, i przenosiły się na dalsze błota. Stefan szedł rażno znanymi miejscami. Stracił pod lasem czasu wiele, więc za to teraz pospieszał. W sercu czuł radość. Odpoczynkiem dla jego duszy były owe nocne wyprawy. Zrzucał z siebie ciężar całego dnia, owo gniotące pragnienie szczęścia, w nim jedynie zakłęte. Stawał się prostym żołnierzem sprawy, idącym podług rozkazu.

W pewnem miejscu kępy traw wyrastały rzadko. Stefan wziął rozmach i skoczył na najbliższą. Pod nogami załamały się trawy i przepadły w rozstępującem się błocie. Chlupła maź czarna po kolana. Stefan w jednej chwili zerwał się, lecz topiel nie puściła. Gwałtownie szarpnął nogami, jak młody zwierz na uwięzi targa żelaznym łańcuchem, lecz stopy jego zaryły się tem głębiej. Już powyżej kolan rozlewało się tło rozdeptanej murawy. Daremne gorączkowe miotania się. Nogi idą w głąb' wolno, lecz nieprzerwanie. Wówczas Stefan oparował się nadludzkim wysiłkiem woli. Stał się odrazu zimny. Obrachowywał ściśle a szybko, jak mgnienie błyskawicy. Próbował jeszcze wyciągać nogi powoli, jedną za drugą, lecz wnet spostrzegł, że i w ten sposób traci cal po calu. Już uda nurzały się w strasznym chrapie. Więc począł próbować innego sposobu. Położył się na brzuchu, ręce wyciągnął przed siebie. Wkrótce namacał twardą kępę. Uchwycił ją obiema rękoma, wparł się potem dłońmi i ulżył ciężaru całego ciała. Teraz znowu próbował wyciągać nogi. Robota była ciężka, lecz nie daremna. Wydzwignął nieco stopy z błota. Wprawdzie jednocześnie zarył się brzuchem, lecz za to przybrał położenie człowieka pływającego. Choć topielisko obejmowało mu piersi, lecz nogi, podsunięte kolanami pod siebie, a stopy zwrócone w bok, jak u kijanki, która przelatuje wody stawu, dozwalały mu wykonywać pewne ruchy sobą bez obawy dalszego zagłębiania się.

Zaczął się kolebać. Potem znów wyprężył nogi, by się posunąć naprzód. Spostrzegł z radością, że kępa której się uchwycił, jest już pod jego głową. Pociągnął się

raz i drugi nieco śmieiej, odepchnął nogami. Za chwilę miał kępę pod sobą. Tuż za nią zwarta murawa. Wylazł z błota i począł się ostrożnie podnosić.

Naraz kępa, murawa, wszystko się rozstało, wszystko gdzieś przepadło. Zanim Stefan się spostrzegł, co się stało, już tkwił w błocie głębiej, niż po pas. Szedł szybko na dno. Nie miał ani chwili do stracenia. Błoto obejmowało mu krzyż. Już łopatki tkwiły w mokradle. Rozłożył szybko ramiona, rozpląszczył dłonie. Zawisł w ten sposób w mazi lepkiej, zdradzieckiej, jak gdyby rozpięty na krzyżu. Opierał się teraz wklęsaniu o wiele skuteczniej; zwłaszcza, im był głębiej, tem wolniej się zapadał. Lecz u nóg wiszące ciężary ciągnęły go nieprzerwanie w głąb, w przepaść, w nieskończoność wstrętnych bajorów. Uczuł straszliwą pustkę. Wokoło noc, bagna i sitowia dalekie. Nigdzie żywej duszy, by zawołać o pomoc. Księżyc wydobył się zza chmur, rozjaśnił się cały i oświetlił topiel. Stefan zorientował się, że towarzysze jego byli daleko, że nikt nie przyjdzie mu z pomocą. Śmierć oczywista zajrzała w jego oczy. Idę pomieścić moje kosteczki z tamtymi polskich rycerzy—wyszeptał w jasnowiedzeniu. Z głębi trzęsawiska, wyciśnięte ciężarem ciała, wydostawały się na wierzch bąbelki powietrza. Błoto sięgało już ramion i karku. Za niedługą chwilę oparł głowę, mocno przechyloną w tył, o resztki traw, nie wdeptanych nogami do głębi. Tak leżał, twarzą zwrócony do nieba.

Zatroszczył się o cel swojej wyprawy. Co się stanie z ładunkiem? Kto go powiezie przez wody jeziora? Stoją tam pewnie u dalekich brzegów towarzysze jego i czeka-

ją daremnie. Pomyślał, żeby im dać znać. Szybko oderwał rozplaszczone dłonie z powierzchni błota i złożył knykciami do siebie i gwizdnął z całych sił. Gwizd rozszedł się daleko, daleko. Zerwało się ptactwo z szumem spłoszonych skrzydeł i pociągnęło tuż nad błotnym szuwarem. Lecz od brzegów nie odpowiedział nikt. Za chwilę znów dłonie złożone, znów gwizd przeciągły. Mimo ostrożności w ruchach, mimo, że nie przestawał się podpierać łokciami, błoto grząskie ciągnęło Stefana w dół, ile razy odrywał i unosił ręce. Próbował więc gwizdnąć na dwóch palcach, opierając o błoto drugie ramię i dłoń. Ale znikąd głosu. Bał się wołać, by nie naprowadzić straży na ślad. Parę razy krzyknął: hop! Zarówno jego głos, jak gwizd wiatr odnosił w stronę przeciwną. Kilka razy miał złudzenie, że słyszy znajome sobie hasło. Już serce biło mu radośnie. Hasło powtórzyło się raz, drugi, co raz słabiej, co raz słabiej, aż ucizło. To było echo jego własnego głosu.

Nogi, biodra, piersi, ramiona szły powoli, lecz bezustannie ku dnom niezgłębionym. Stefan przechylił głowę mocno w tył. Patrzył spokojnie w niebo. Nie widział przed sobą drogi wyjścia, znikąd ratunku. Oczekiwał śmierci.

Właśnie wicher porozrywał ciężkie, ciemne chmury, porozpędzał je na wszystkie strony świata. Szły teraz z jego powiewem lekkie, strzępiaste obłoki, szły przez bryłę księżyca, jak szale, rzucone fantastycznie tu i owdzie na błękit srebrny a zimny. Księżyc przyćmiewał się co chwila, gdy rozwinięty żagiel obłoku przelatywał przezeń z wichrem, lecz zaraz wychylał się, rozjaśniał

niebo i szuwały na błotach. Już nie zapadała ciemna noc. Okrutna, jastrzębia żrenica księżycy patrzyła Stefanowi prosto w twarz.

Spowiedź z całego życia przyszła w owej chwili, jak potężne wezwanie. Przed oczyma domek niewielki, drewniany. Strzecha ze starości porośla mchem. Na mchach stado gołębi. W domku sionka i dwie boczne stancje. Przed wejściowemi drzwiami przystawka otwarta, z daszkiem na dwóch słupach. Przed domem śmietnik i morga gruntu. Siwiutki ojciec siedzi w przystawce z dratwą w ręku, łąta czyjeś buciska. Matka obsypuje w polu ziemniaki. Sterane—to to. Nachyla się, pociąga z trudem motyką po zbitej, twardej skorupie ziemi, ciągnie wydobytą z głębi, sypką masę ku łądogom zielonym; raz po raz, co pociągnie, staje, chwytą w zdyszana pierś powietrze, ociera rękawem koszuli krople potu, zalewającego oczy.

Pod daleką ścianą lasu ktoś łka, ktoś straszliwie łka. Żegna ostatniem spojrzeniem wychudzoną pierś matki, ojca—starowinę. Za chwilę znika pośród ciemnych drzew.

— Jaśnie panienko! porzuciłem rodziców. Czy to nie podle z mej strony?

— Jeżeli to Stefan zrobił dla sprawy, to nie mógł inaczej.

— Ale nie powiedziałem im, dokąd i poco odchodzę. Rzuciłem ich zradnie.

— Rzuca syn rodziców dla sprawy, rzuca mąż żonę, rzuca kochanek swą kochankę.

— Ale nie powiedziałem im w chwili odejścia.

— Nie szepce mąż żonie słów pożegnania, nie szepce kochanek kochance. Rzucają nagle, by się nie złamała ich moc.

— Jaśnie panienkol

Wśród mgły srebrnej, siejącej się z topieli, stoi Hal-ka. Uśmiech łaskawy okrywa jej usta.

— Jaśnie panienko! Rodziców zostawiłem w opusz-czeniu, ale stąd nie odszedłbym dla żadnej sprawy.

W podniebnych błękitach wisi księżyc samotnie. Już niema ani jednej chmurki na niebie szerokiem. Od wschodu poczyna dzień. Ale księżyc jeszcze leje pełne swe światło na zbiełałą twarz Stefana.

— Tu zostawiłem całą moją duszę. Jakżebym po-szedł bez niej w strony dalekie?

— Niech Stefan śpi! niech Stefan śpi! Stoję tu przy nim na białej straży. Nie jest Stefan tak bardzo sa-motny.

Błękitne oczy patrzą na niego łaskawie wśród srebr-nej mgły.

— Jest mi dobrze, jaśnie panienko. Strasznie mi dobrze.

.

Nad ranem znaleźli go towarzysze. Przyszli za tro-pem. Położyli wiosła pod ramiona, owiązali sznurami. Stefan nie poznawał nikogo. Już błoto oblewało mu czo-o i twarz miękkim wezglowiem. Oczy, zwrócone w prze-strzeń różowiącą się zdala, widziały promienne obrazy, a ustami poruszał szept.

VI.

Jednego dnia pracował nad brzegiem wzburzonego jeziora. Wicher gnał z wściekłością fale wody, a z trzęsących się drzew rwały się z szumem krople deszczu. W górze napełniał powietrze krzyk miotanego burzą plectwa. Stefan wyczuwał w sobie ostrze zatopionych pazurów. Przystanął na chwilę i patrzył w szarą, wilgotną przestrzeń. Zdawało mu się, że w wibrujących kręgach świata słyszy jeden motonny szum, jakby krzyk przeraźliwie smutny. Przez szum fal i plusk spadającego deszczu powtarza się ten krzyk to donioślejszy, to cichszy, jak dalekie, zagubione echo. Z początku w złudzeniach, potem dźwięk po dźwięku, jasno i wyraźnie słyszy słowa. Wówczas usta same bez poruszenia warg wymawiają ukochane imię.

Raz pierwszy to imię dotknęło się ust.

Halka!

W uniesieniu bez granic nie czuł świętokradztwa, gdy imię to powierzał szumowi jeziora i wichrom, targającym drzewa. Wówczas zjawilo się pragnienie śmielsze, niż wszystkie, które dotąd odczuwał, pragnienie, by jego miłość szalona wzbudziła w sercu oddźwięk choć maleńkiego lubienia, by nie był dla niej, jak kamień przydrożny, który się obojętnie potraça nogą. Wydało mu się to nie zawielkiem żądaniem. Niechby choć trochę, choć troszeczkę polubiła mnie—marzył w zamysleniu. Czuł jednocześnie, że ona go unika, że jest jej obojętny i że tak będzie do końca świata.

Rzucił swą robotę i szedł wielkimi krokami pod górę ścieżek, spadających do jeziora. Zapragnął ją zobaczyć w tej chwili, choćby sukienkę, zdaleka przemykającą pośród drzew. Przebiegł cały ogród. W domu jej nie zastał. Gdzie była? dokąd poszła? Czy na przechadzkę do lasu? czy może do chorych? Od nikogo nie mógł się dowiedzieć.

Jezioro szumiało, wicher rwał gałęzie drzew, W jego sercu niepokój większy, niż wicher nad ogrodem. W jego sercu krzyk rozpaczy straszniejszy, aniżeli krzyk plectwa, miotanego burzą. W jego sercu płacz, jak te krople deszczu, które wicher niesie.

Daremnie szuka jaśnie panienki. Daremnie podnoszą się wołanie jego duszy.

Na drodze od wsi, widzi kulejącego dziada. Złe przecucie targnęło sercem. Zaledwie zapanował nad sobą, by nie pobiedz i nie pytać się, dlaczego już dzisiaj idzie, kiedy ładunek jeszcze nie gotowy, W jednej chwili ogarnia wzrokiem położenie. Mógłby być widziany w tem miejscu. Więc szybko wraca nad jezioro i mimo siekającego deszczu przycina szpaler dzikiej śliwy. Z pod oka patrzy, jak dziad sztykuta przez ogród, słyszy, jak sobie nuci przez nos pieśń dziadowską.

Ze słów dosłyszanych zrozumiał. Nie mógł odgadnąć jedynie szczegółów rozkazu. Patrzył wyteżonym wzrokiem na dziada, Zobaczył w pewnej chwili, że dziadisko potknęło się, otarło przypadkiem o drzewo, ale jakoś dało sobie radę i sztykutało dalej. Serce Stefana biło jak młotem. Czekał jednak cierpliwie. Dziad już znikł z oczu, już dawno wicher stłumił odgłos pieśni dia-

dowskiej, a Stefan jeszcze przycinał wystające pędy żywopłotu. Dopiero, gdy zbliżyła się pora obiadu, poszedł śmiałym krokiem ku domowi. Na chwilę zatrzymał się przy drzewie wiadomem. Spojrzał na ziemię. Nigdzie śladu. Przyjrzał się korze. Nie było widać żadnej karteczki. Już zniechęcony i przekonany, że wszystko było złudą jego znużonej głowy, chciał iść dalej. Wtem spostrzegł, że na małej gałązce buja się szczelnie złożony, maleńki, zaledwie widzialny świstek. Porwał go i pobiegłszy nad jezioro, zaczął czytać.

Woda, ogród, drzewa zakołysały się przed nim.

Na karteczce były słowa: uchoďte dziś przed nocą!

Nie wierzył słowom. Nie wierzył myślom. Miałże ją dziś rzucić na zawsze!?

Oparł się plecami o żywopłot. Patrzył na jezioro zbałwanione, na grzywy pian, lecące z szumem. Nie mógł wierzyć. Nie mógł podźwignąć ciężaru, który zawisł nad jego głową. Uczuł się nagle małym, słabym, jak dziecko. Ciało jego podparte o żywopłot zaledwie trzymało się na nogach. Serce było słabsze, o! stokroć jeszcze słabsze, aniżeli ciało. Zaledwie w nim żyło.

Deszcz padał mu na twarz, przemoczył ubranie, ściekał po ciele. Nie czuł zimnego dotknięcia wody. Nie zdawał sobie sprawy, że tu stoi i po co tu stoi. W głowie podnosił się szum, większy, niż szum jeziora, niż świst wichru. W oczach co chwila ciemniało, w skroniach waliły tętna.

Jedno jedyne słowo. Jedno jedyne słowo.

Uchoďte!

Ale był rozkaz. Więc trza było przed nocą uchoďte!

Złamany, zniszczony na strzępy, odwłókł się od żywopłotu. Szedł wolno, jakby wstał z łoża śmierci. Zaledwie go nogi niosły pod górę ogrodu. Przystanął pod drzewem, gdzie przed chwilą zawisł wyrok na niego.

O! szczęśliwy dniu, który byłeś wczoraj.

Nagle zadrżał. Zdaleka po ścieżce ogrodu przeszła jaśnie panienska. Mignęła mu się pośród drzew. Skoczył z miejsca, by biedz do niej i powiedzieć, że już wyjeżdża na zawsze. Lecz szybciej, niż błyskawica, przebiegła przez głowę myśl. A cóż jej, jaśnie paniencie? cóż on ogrodowczyk? czy jest, czy go niema? Będzie inny na jego miejsce.

Zaskowyczało serce z bólu. Uchwycił się gałęzi, by nie zwalić się na ziemię. Potem szedł wolno ku ścieżce, po której przebłysła przed chwilą jej jasna sukienka. Szukał śladów jej stóp. Na mokrym piachu rysował się wyraźnie ślad jej małego bucika. Ukląkł przy nim. Słowa modlitwy, dawno nie wymawiane, wykwitły na jego ustach. Potem w zapomnieniu, nie wiedząc, co czyni, upadł twarzą na ziemię i począł szlochać. Gorące, słone łzy spływały po twarzy i mieszały się z wodą deszczową na odcisniętym śladzie obcasa.

Gdy się podniósł, był tak zawałany i przemokły, że musiał iść do swego mieszkania, by się przebrać. Już nie chodził usługiwać przy stole. Przecież i tak miał uciekać pokryjomu. Lecz nie mógł odejść, nie widząc jej jeszcze raz. Więc w godzinach popołudniowych zajrzał na werandę. Siedziała tam Halka i państwo Krzyżtoporscy. Usprawiedliwił się zmoknięciem do suchej nitki przy cięciu grabów. Potem zaczął ustawiać i polewać kwiaty.

Zauważył, że jego nadejście przerwało ożywioną rozmowę, a widząc, że temat jej dla Stefana miał być niedostępnym, bo pan Krzyżtoporski zaczyna mówić po francusku.

— Cała ta zaraza idzie z miast. Wierzę w zdrowy rozsądek naszego chłopka, ale broń Boże jakich socjalnych agitacyi. A ten ogrodnicyk? Przyznaję, że mam do niego słabość, ale kto wie, co w nim siedzi.

— Czemu tatko tak sądzi?

— A zajście z Wyzbalskim?

— To tylko znak dobrego serca.

— Ba, serca. Co mu do tego, co Wyzbalski miał z tą dziewczką? Miał, czy nie miał, była harda, więc należało się jej parę kijów. Przecież rządca nie może pozwolić na ubliżanie sobie. Aspiracye socjalne, mówię ci.

— Ależ podobno ona stawiała żądania w imię swoich praw.

— Co za prawa? czemu była głupia?

— Jak tatko może tak mówić? Gdybym ja była na miejscu Stefana, to Wyzbalskiemu nie uszłoby na sucho.

— Co ty też pleciesz? Czy myślisz, że on będzie lepszy? Poczekajmy do roku. Już wszyscy mówią, do kogo po nocach lata.

— Do kogo po nocach?

— Daj pokój Stasiu—odzywa się pani Krzyżtoporska—przy pannach nie rozmawia się o takich rzeczach.

Stefan słucha. Rozumie każde słowo. Uczuwa pod czaszką ostrze zakrzywionego gwoździa, którym mściwa ręka bezlitośnie szarpie. Huczy mu myśl: co ona o nim pomyśli? co ona pomyśli?

A ona odpowiada:

— Może to tylko plotka.

Wówczas mściwa ręka zapuszcza zakrzywione ostrza przez mózg do serca. Bucha żywa krew do twarzy. Powoli, słowo za słowem, spełnia się straszliwe przeznaczenie.

— Powiem ci jeszcze, dziewczę naiwne, dokąd jeździ. Oto łódeczką do Majdan Zaleśnych. Nasze dziewczyny zazdroszczą tamtym.

Milczenie. Ani słowa zaprzeczenia!

— Ech! nie bierz mu tego za złe. Młody, musi się wyszumieć. Najgorsze to te aspiracye socyalne. Byłbym go zrobił pisarzem podwórzowym. A szkoda, szkoda chłopaka.

Stefan już nie słyszy ostatnich słów. Przed nim zamyka się świat. Rośnie mur od ziemi, rośnie w oczach, tak szybko, jak gdyby się głązy waliły z nieba, oplata się cierniem krwawiącym.

Leci z rąk Stefana doniczka z cudnym kwiatem na ziemię. Leży purpurowy kwiat rozbity, jak jego serce.

— Psiakr...

Pan Krzyżtoporski przyskakuje z przerażeniem.

— Jakże mogłeś? jakże mogłeś upuścić tak cenny okaz?

Patrząc na nich z wysokości niedosiętej przez nikogo, wybiega Stefan z werandy.

VI.

Rad był teraz, że kazano mu iść w szeroki świat. Pójdzie ztąd precz, bez słowa pożegnania. Rzuci ich, jak gniazdo szerszeni.

Burżuje! syczał przez zaciśnięte z gniewu zęby. Że ja, syn chamski, to nie mam mieć serca, ani duszy! Więcej wam żal kwiatu, który leci na ziemię, niż podeptanego szczęścia człowieka. Nie uroniłabyś, jaśnie panienko, łzy, gdybyś mogła podeptać moje! Ale dzięki wam, o! moce nieznanne! zem się nie upodlił chwilą słabości, że usta śpiewały hymn wesela, gdy czaszkę rozsadzała rozpacz. Umiały usta milczeć, umiały usta kłamać. I nie miałaś, jaśnie panienko, uciechy nade mną i mieć jej nie będziesz.

Idzie Stefan w głuchym gniewie do swego mieszkania. Wyciąga z kąta zakurzony kuferek. Otwiera. Wieje zeń zimna pustka. Chwile dalekie, chwile przybycia. Długo szeregi istnień. Z kołków, które jak nieublagane ciosy wałą w jego pamięć, ściąga obdartą surducinę, pochlastane spodnie i rzuca na dno. Otwiera szuflady starej, na trzech nogach stojącej komody i wyrzuca bieliznę. Jeszcze małe lustro z nad stolika, jeszcze grzebyk, jeszcze para butów, jeszcze szczotka do rzeczy, stara przyjaciółka, zacierająca haniebne plamy ubrań—i wszystko. Wieją pustką wysunięte szuflady, obnażone kołki na ścianie. Już wszystko.

Zamyka kuferek i wynosi go w znajome zarośla nad brzeg wody.

Ciągnie się wzdłuż jeziora maleńka ścieżka, żółtym żwirem wysypana. Idzie linią falistą, raz pnąc się po wyższych zboczach, to schodząc aż do nadbrzeżnych kamyków. Tą ścieżką Stefan wlecze się, a potem nagle skręca ku znajomym miejscom ogrodu, gdzie mała ławka sto pod próchniejącymi lipami, gdzie szeroki trawnik rozciąga

się ku podjazdowi pałacu w Wyrwach. Stąd widać piętro i otwarte okna.

To są okna jej pokoju.

Stefan siada na ławce pod starą lipą. Patrzy ku górze. Potem chowa twarz w dłoniach i przeżywa sen w zamyśleniu.

Już cię nie ujrzą oczy mojej!

Dziwna rzecz. Żadnych wzruszeń, żadnych pragnień. Tylko ogromne wyczerpanie, jak po ciężkim tyfusie. Przeleciały wieki w jeden dzień. Zostawiły ślad, nie zatarty już niczem.

Idą znów wolno minuty dnia. Słońce się zniża, — niedługo noc. Rozkaz był, że przed nocą trzeba uchodzić. Więc pora już iść. Już czas, już woła znany głos.

Żegnaj, jaśnie panienko.

Jeszcze tylko jedno spojrzenie, ostatnie pożegnanie otwartym oknom.

Jeszcze chwila, jeszcze jedna maleńka chwila.

Stefan przechyla się na ławeczkę. Kładzie się plecami na jej drewnianych prętach, a głowę wspiera na dłoniach splecionych. Nad nim ramiona lipy, jak potężne słupy rozpiętej altany. Delikatne, na wysokościach szczytu drgające liście tworzą żywą zasłonę. Deszcz już dawno przestał padać, lecz liście lśnią od jego wilgoci, a raz po raz spada kropla na ławkę.

O! tęsknoto moja! Jakiemi drogami weszłaś do duszy? Jaką podstępna siłą wyrwałaś odwagę z serca? Czem ja jestem dzisiaj, ja, dawny człowiek? Oto leżę tutaj pod zieloną kopułą drzew. Oto woła na mnie głos

mojej duszy. Nie mam sił iść za nim. Złote twoje obręcze opasały ciało.

Zaczął znowu śnić, jak to niegdyś za szczęśliwych dni w Wyrwach, gdy Halka grała swój romans ulubiony, a on tu leżał, wyciągnięty na ławce, i układał obrazy porwania Halki i jej bohaterskiej obrony. Jedzie na wyprawę na karym, wielkim koniu. Za nim wierni towarzysze jęgo. Brzękają szablami. W ich oczach ogień. Jadą na wyprawę zbrojną. Muzyka im gra. Z początku gra im cicho, jak muśnięcie skrzydeł myśli, jak westchnienie, wydarte z piersi, gdy nie wolno nikomu mówić, co w piersiach się dzieje. Przycisnęli szable kolanami do koni, by nie brzęczały. Podwiązali koniom kopyta, by nie stukały o bruk. Jadą cicho i w muzyce, jak w promieniach słońca. Jadą powoli w zamysleniu, w wahaniu, kogo i gdzie spotkają, z kim i o co będą walczyli. Czy zwyciężą? czy zwycięży wróg? Nie wie serce, co go czeka, jakie go poniosą losy, na jakie drogi rzuca go wichry. Leci serce na oślep, to znów się cofa, pełne wahań i niepokoju.

Zdaleka nadciąga burza. Huczy grom. Błyskawica raz po raz rozrywa ciemność nocy. Niepokój ogarnia serca. Rwą się konie pod nimi, rwą się ich własne dusze. Już z wiatrem puszczone szablance dzwiczą u temblaków, już odwinięte kopyta szczękają w galopie o twarde bruk. Lecz niepokój nie opuszcza serc. Czyż się o siebie boją? Boją się, że zadaleka droga na siły ich cwałujących koni. Boją się, że gwiazda, która świeci daleko u podnóża ciemnych, błyskawicą rozdzieranych chmur, jest bez kresu. Mogą życie położyć w pogoni szalonej, a nie będą ani bliżej, ani dalej od niej.

Niepokój rozsadza serca. Jak płachty mokrego deszczu, spadają na nie splątane tony muzyki. Każdy jej dźwięk jest jak bicz do biegu, każdy jej dźwięk jest jak grom, który kruszy. Zrywa się dusza do lotu i wali się znów na ziemię, złamana ciosem nieszczęścia. A muzyka gra. Wokół, wszędzie, w głowie, w piersiach jest jej pełno. Skąd ta muzyka? Skąd te obrazy, te porywy duszy, które ona niesie?

Zrywa się Stefan i siada na ławce. Nie wie jeszcze, gdzie jest. Wracając do świadomości, łowi tony chciwie. Są mu jakieś znajome, jakieś ukochane.

To jaśnie panienska gra.

Z otwartych okien pałacu lecą teraz tony tęskne, chwilami w beznadziejności swej okrutne. Dźwięczą klawisze, jak kajdany więzienne. Dwoje tych ludzi, którzy się kochają, nie mogą się zejść. Rozdziela ich życie – los. Dopiero śmierć ma ich połączyć.

— Przyszłam na twe wezwanie. Dałam ci usta moje. Wypijmy teraz ten kielich do dna, zanim śmierć zniszczy nasz świat.

Zarzuca mu cudne ramiona na szyję.

— Przyszłaś na moje wezwanie. Dałaś mi usta swoje. Ustami duszę mi swoją dałaś. Czy serce człowieka może pomieścić więcej szczęścia? Po co wychylać kielich rozkoszy do dna? Niech te krople zostaną, jak woń niedopełnionych snów. Umierajmy razem!

Strasliwie brzęczą struny, jak kajdany więzienne, jak dzwony nadziei, jak śmierć. Płacze się w nich wszystko życie, z tego i z tamtego świata. Strasliwie spadają na ciemne, deszczem złane drzewa ogrodu. Jeszcze nigdy

dusza grającej nie wyraziła się w nich tak silnie, jeszcze nigdy tak gwałtownie, tak namiętnie jak w tej chwili nie splątała Halka swych własnych uczuć, swych tęsknot za innym życiem na tej ziemi, z uczuciami i tęsknotami, które targały sercem kompozytora. Unosiła się z pod palców burza rozpaczy, rwały się bezdomne nadzieje, wołając napróżno o ziszczenie pragnień płonących.

Nagle odezwały się struny, jak dzwony. To słońce wschodził!

Zerwał się Stefan z ławki i idzie przez ogród. W duszy ma już niezłomne postanowienie. Nie odejdzie stąd, jak pierwszy lepszy włóczęga. Powie jej wszystko, wyjawia całą prawdę, kim jest. Teraz już wolno mówić prawdę. Niech wie jaśnie panienska, kto podnosił na nią oczy nieśmiałe, czyja dusza tarzała się przed nią po ziemi. Niech wie, na jakie to nocne wyprawy płynęła łódź.

By jej powiedzieć, musiał usługiwać do stołu raz jeszcze tego wieczora. Szepnie przy wieczerzy jaśnie paniencie do ucha, że pragnie z nią mówić sam na sam, bo o życie tu chodzi. Jaśnie panienska naznaczy mu miejsce rozmowy. Tam to wyzna jej, kim jest, po co tu był i gdzie odchodzi. Może jej wyzna przy tem, jak strasznie, jak nad życie i świat cały...

Serce, które prawdziwie kocha, nawet w chwili rozstania nie może się wyrzec nadziei.

Ale na dole w pokoju kredensowym dowiedział się, że Halka czuje się niezdrową i kazała podać sobie herbatę na górę. Zaniepokojony pobiegł natychmiast pod okna jaśnie panienski. Rozmyślał, jakby dać jej znać. Nie mógł i nie śmiał zawołać. Stał więc bezradny i wycze-

kiwał. Czekał na los, ale los widocznie nie szczęścił mu tego dnia. Począł się niepokoić. Miał rozkaz porzucenia Wyrw przed nocą. Noc już nadeszła, a on tu jeszcze stoi.

Przyszło mu wówczas na myśl, że jak świat szeroki, nigdy się nikt nie liczył z jego sercem. Zdeptano mu duszę w Wyrwach. Tam pośród towarzyszy był psem gończym, którego posyłano po śmierć, ile razy nikt inny nie miał odwagi iść. Chodził bez wahania, podług rozkazu. W przysiędze oddał im życie, więc pozwolił im rozporządzać swem życiem, jak chcieli, ale nie zobowiązywał się nigdy, że odda im całe swoje szczęście. Miał jeszcze niejakię prawo do niego.

Poco mu każą rzucać Wyrwy tak nagle i w tak straszliwych warunkach? Przecież tu jego bytność nie zaszkodzi nikomu. Cóż, że żandarmi przyjdą? Będą go brali? Niech go biorą. Nie wezmą go żywcem, a po śmierci nie zdradzi nikogo. Nie pozostawia po sobie żadnych papierów, żadnych śladów, czem był. Jedynie jedno życie będzie stracone, zapewne, że to życie potrzebne dla sprawy, ale ileż razy on je niósł w ofierze. Niech choć raz jeden, raz jeden tylko ma prawo rozporządzić niem dla własnego szczęścia.

Buntowało się serce. Już nie chciało słuchać rozkazu.

Oparł się o drzewo pod oknem jaśnie panienki. W piersiach jęk. Jak ciężko było raz pierwszy nie słuchać. Ale jeszcze ciężiej było uchodzić bez pożegnania. Czuł, że nie odejdzie tej nocy. Gdy to zrozumiał, doznał ulgi.

Nawet jakowaś radość zaświtała w głowie. Myślał

jedynie o tem, że nie opuści Wyrw, póki nie zobaczy jej. Więc jeszcze raz ją zobaczy! Z nawyknięcia, jak prawdziwy pies gończy, obszedł wszystkie kąty ogrodu i zabudowań i wyrzał w pole. Cicho było wszędzie. Światła gasły po chatach. Ludzie szli spać.

Wrócił do pałacu. Już zjedzono kolację, ale jeszcze państwo Krzyżtoporscy pili herbatę. Spokojny, zimny, jak zawsze, kiedy chodził na wyprawy, zajął się podawaniem szklanek. Nikogo nie dziwiło, że się spóźnił w ten codzienny, bez gości wieczór. Pan Krzyżtoporski prosił o jedną jeszcze szklankę. Gdy ją Stefan niósł, wpadła służąca z krzykiem:

— Żandary z wojskiem kole pałacu.

Wzrok wszystkich padł na Stefana. Wszyscy mieli przekonanie, że tylko po niego mogą przychodzić. Ale on z obojętnym uśmiechem, ruchem lokajskim, już dostatecznie wypraktykowanym, podawał szklanki.

— Niech pan dziedzic pozwoli herbaty—mówił, jak zwykle uprzejmie.

Jego spokój udzielał się obecnym. Poczęto przypuszczać, że zaszła pomyłka. Choć za chwilę wszedł do pokoju żandarmski podoficer z dwoma strażnikami, nie znać było na nikim zaniepokojenia. Podoficer zbliżył się do Stefana.

— Ty Stefan Władysławowicz Chmara?

Żuczek odpowiedział najspokojniej:

— Zaraz paszport pokażę.

Postawił tacę na bocznym stoliku i sięgnął do kieszeni.

VIII.

Halka czuła się istotnie cierpiącą. Przechodziła po południu utarczkę z rodzicami. Ostrożnie, w dalekich omówieniach, podsuwano jej myśl zgoła wstrętą. Miała już prawie lat dwadzieścia dwa. Nie należy w tym wieku lekceważyć niczyich objawów czułości. Jest to dowodem braku rozsądku, a conajmniej złego wychowania. Ojciec pogładził jej włosy i pocałował w czoło.

— Proszę cię, bądź rozsądniejszą, pan Kazimierz przedstawia partyę ze wszechmiar dobrą.

— Ale on jest bezdennie głupi.

— Dziecko! Przecież pan Kazimierz kończył szkoły, gospodaruje dobrze. Na cóż mu większy rozum? Czy będziecie po ślubie rozprawiali o filozofiiach?

— Jakżeż ojciec tak może mówić? Potrzebne jest jednak inne zrozumienie spraw w człowieku wybranym.

— Jakie zrozumienie?

— Są przecież po za gospodarstwem przekonania, odczucia, dążności duchowe, które powinny stanowić jedną wspólną całość dla dwojga ludzi, mających żyć razem.

— Co będziesz mi zawracała głowę duchowościami. To dobre do romansów...

— Tak, tak, to wszystko z tych powieści — mówi pani Krzyżtoporska. Nie chcę go, nie kocham go. Pokochasz, pokochasz, oto mnie głowa nie boli. Ale ja wiem, chciałoby się czegoś nadzwyczajnego, uczuć niebывałych, nastrojów, uroków, może gwiazdy z nieba.

— Uspokój się, duszko. Halka jest rozsądną dziewczyną, napewno usłucha rady rodziców. Halusiu, zastanów się tylko, jak się to wszystko dobrze składa. Pan Kazimierz mieszka z nami o miedzę. Jego majątek jakby stworzony do należenia do Wyrw. My mamy grunta dobre, gorzelnię, inwentarze liczne, a mało łąk. W Okopach u pana Kazimierza są łąki rozległe, torfy znakomite. Będiesz panią na najlepszych majątkach w całej okolicy.

Halka słuchała ojcowskich wywodów w milczeniu. Gniew, żal, oburzenie targały jej sercem.

— Ależ, ojcze, wy chcecie mnie sprzedać. Czy zakłopotaliście się o moje szczęście? Mówicie zawsze, że wami kieruje miłość. To nieprawda. Wy kochacie majątek więcej, aniżeli mnie. Dla majątku chcecie mnie sprzedać.

Pani Krzyżtoporska przemierza pokój drobnymi kroczkami. Chodzi coraz szybciej. Wzburzenie jej wzrasta stopniowo. Nie może się opanować dłużej.

— Jesteś niewdzięczna, niegodziwa córka. Któż cię wydał na świat, któż własną piersią wykarmił? Dla kogóż pracujemy, dla kogóż zbieramy majątek, jeżeli nie dla ciebie? My go nie weźmiemy do grobu, my starzy, którym się już nie wiele należy na tej ziemi.

— Ja nie chcę waszego majątku. Potrafię sama na siebie zapracować. Pozwólcie tylko wykształcić się.

— Jakto?! My ci nie pozwolimy kształcić się? Czy nie skończyłaś pensyi siedmioklasowej? czy nie masz książek, jakie zechcesz? Masz w bibliotece historję, masz literaturę, masz romanse. Przecież i pan Kazimierz nie zabroni ci czytać i uzupełniać, czego ci potrzeba.

Halka śmieje się nerwowo.

— Przed chwilą mama wymawiała mi romanse, a teraz nimi częstuje. Każda broń jest dobra, byle wiodła do celu. Ja nie mam rozwijania umysłu jedynie na myśli, ale chcę się kształcić fachowo. Chcę mieć w ręku własny chleb. Ten zdobędę jedynie z pomocą uniwersytetu.

— U-ni-wer-sy-te-tu?! Bój się Boga, Halusiu. Coby powiedziano w całej okolicy? Jakie tam towarzystwo młodzieży! Przecież i ja swego czasu, coś nie coś, zaglądałem do uniwersytetu, kiedy mi ojciec kazał się przetrzeć w świecie. Byłabyś narażona na rzeczy, o których młoda dziewczyna nie powinna słuchać bez rumieńca wstydu.

Halka zna dobrze ojcowskie argumenta. Nie raz, nie dziesięć razy ścierała się z nimi, podejmując zawsze napróżno walkę o dalszy swój los. Dziś nie ma sił do przekonywania. Jest znużona nerwowo. To też wybuchła gwałtownie.

— Ja i tak nie pójde za pana Kazimierza! Choćbyście mnie zadręczyli na śmierć.

— Nie pójdziesz?! — woła matka. A twoja uczciwość?

— Uczciwość? co ma uczciwość do tego?

— A właśnie, że ma. Już mija pół roku, jak pan Kazimierz prowadzi formalne konkury. Przed miesiącem kupił umyślnie Okopy, trochę za naszą poradą. Wyeksponował się na cugi, liberyę. Czas traci z tobą. Jakżeż tak napróżno?

— A kto mu kazał? Może mama mu kazała. Ja, nie.

— Ty mu kazałaś.

— Ja?!

— A tak: ty. ty. Cóż to, nie widzę, jak się do niego mizdrzysz? jak oczy do niego sypiesz? Jak ciągle: panie Kazimierzu, a panie Kazimierzu? A kiedy on ci dusery prawi, to się rechocesz z radości.

Halka nie odpowiada. Nie może zaprzeczyć, że umyślnie kokietowała Wichłacza. Bawiło ją to lub gniewało, jak ten głupiec sadził się na komplementa. Teraz to wszystko się mści.

— Pan Kazimierz—odzywa się do niej znów ojciec—mówił, że jesteście w porozumieniu, prawie jakby po słowie. Mówił, że nigdy nie odrzucałaś jego propozycji.

Przerażenie zaciska serce Halki. Istotnie Wichłacz plół nieraz podobne androny. Śmiała się, bo takie to wszystko było śmieszne. Nie przypuszczała, że bierze na seryo.

— Pan Kazimierz jest zaangażowany poważniej. Przecież i serce coś znaczy. Czy można poniewierać ludzkim sercem? Kiedy mówił do mnie o tobie, to bladł i czerwienił się, jak panna na wydaniu. Jaki ty mu cios obmyślasz? jakbyś strasznie z niego zadrwiła! Po tem wszystkim musiałby z rozpaczny majątek sprzedać i stąd się wynosić.

Głaszczce córkę po włosach. Całuje ją w czoło.

— Halusiu, bądźże rozsądna. Poprostu, bądź uczciwa.

Halce kręcą się w oczach łzy, a ze łzami cały świat Otwiera się przed nią przepaść, której dotąd nie widzia-

ła. Serce się nie umie odrazu uporać z pierwszym rozpaczem wrazeniem, gdy ono spada znienacka.

Rodzice biorą jej bezsilność za wahanie się. Już ramiona rodzicielskie obejmują ją czule.

— Córuniu najdroższa...

Halka wyrywa się gwałtownie z ich objęć.

— Nie! nigdy! przenigdy! raczej śmierć na dnie jeziora.

Wybuchając szlochem, ucieka do swego pokoju. Tam rzuca się na łóżko i długo nie może się uspokoić. Ogarnął ją przestach. Wydało jej się, że pan Kazimierz, ojciec jej i matka uknuli przeciwko niej spisek. Sama przez swoją nieostrożność dała watek tego spisku. Teraz zamyka się w około niej sieć z nieprzeniknionymi okami. Żadna siła ludzka jej nie rozplącze. Ale woli rzucić się w głębię jeziora, niż wyjść za tego wstrętnego człowieka.

Raz po raz szloch wstrząsa jej piersiami.

Nie mogąc uleżeć spokojnie, zrywa się i poczyną chodzić po pokoju. Ponieważ chusteczka już mokra, wyciera oczy ręcznikiem. Coraz niejaśniejsze, coraz trwożliwsze myśli wypełniają ze zbolałych komórek mózgu. Uczuwa pustkę straszliwą. Stoi sama, bezbronna. Któż ją zrozumie, któż podeprze w zamiarach? Czy jest w Wyrwach lub w całej okolicy choć jedna prawdziwie człowieka dusza?

Staje oparta o przód fortepianu. Myśli jej, objawszy wszystkich, spoczywają na Stefanie. Przypomina sobie, jak wyglądają jego dzikie, płomienne oczy, oczy jak u zwierzęcia, ujętego w klatkę. Patrzą pokornie, znagło-

ne siłą woli, ale burzy się w nich potęga, nie znająca granic. Jak on patrzył wówczas straszliwie, gdy mu upadł z rąk kwiat na ziemię. Widziała niegdyś rzeźbę. Stał młody żołnierz na straconym posterunku z lontem w ręku. Za chwilę on sam i świat w około niego przestaną istnieć, rozwiani w dym. Tak właśnie patrzył Stefan, jak ów żołnierz.

Fortepian stoi przy niej otwarty, ale ona myśli o tem, jak oczy Stefana szybko zmieniają wyraz. Co w nich jest? co z nich przemawia? Gdyby pan Kazimierz miał choć połowę, choć dziesiątą część tej głębi w spojrzeniu, nie uczuwałaby takiej odrazy. Jest coś dziwnego w Stefanie, co go wywyższa nad poziom stanu. Tacy ludzie—myśli—mogą zdobyć świat. A cóż ona?

Jakaż to tęsknota podnosi piersi, gdy człowiek ma przed oczyma wszystko, co ukochał, a dążenia jego skutko w kajdany. Z tęsknotą podnosi się głos, któryby się chciał wyrwać z piersi zdławionej. Halka nie ma do kogo mówić. Choć ją kochają, wszyscy są dla niej duchem obcy. Więc może się wypowiadać jedynie myślą, uczuciem i swoją grą.

Fortepian stoi przy niej otwarty i ńczy wzrok,

Przed niecałym rokiem spotkała poetę. Mówili ze sobą o twórczości, czy twórczość daje szczęście i co w tem szczęściu większego, czy swoboda wypowiedzania uczuć, nigdy nikomu nie wypowiedzanych, czy przecucie sławy? A potem znów zastanawiali się nad możliwością ujęcia swych osobistych wrażeń. On mówił do niej, że łatwiej jest odtwarzać cudze wrażenia, niż własne, bo te, jak powódź, zalewają myśli. Ale wy artyści—odezwała się

Halka—musicie mieć specjalny sposób odczuwania. Odczuwając, patrzycie na chwilę, jak na obraz, który niezadługo ujmiacie słowami. To wam nie pozwala oddawać siebie wrażeniu tak całkowicie. Zaprzeczał. Zauważyła, że rozmowa o tem jest mu straszliwie bolesna, chciała więc mówić o czemś innym, ale on pierwszy zaczął znów o tem samem. Słyszałem to raz—mówił—z ust, jakich drugich niema na ziemi. A przecież potęga mego uczucia zasłania mi świat. Oddałbym sławę, majątek, wszystko życie za jedną wielką chwilę. Halka zapytała się, jak to zwykle w rozmowie potocznej, czemu nie osiągnął tej wielkiej chwili. W pewnych warunkach życia—mówił z głębokiem wzruszeniem—potrzeba potęgi odczucia z obu stron. Halka zapytała się jeszcze, czy można być zawsze pewnym, że się idzie samemu przez świat. Pewnym nie można być nigdy—odpowiedział. Czasem dwie rwące się dusze czują to samo, pragną tego samego z jednakową siłą, a jednak przechodzą obok siebie, nie znając się do głębi wzajemnie, nie mogąc się porozumieć. Miną chwile spotkania, jak sen. Zostanie uczucie najcięższych kajdan, które jedna duszą nałożyła na drugą. O! stokroć lepiej porzucić ten przeklęty świat. Halka rozumiała, że on się zwierza, bo już i twórczość mu nie wystarcza, że rozpaczne uczucie przelewa się przez serce wezbraną falą. On też zaraz mówił, że potrzeba twórczości zjawia się dopiero później, w chwilach samotnych, gdy przychodzi szaleć z tęsknoty, i że twórczość nie jest osłabieniem uczuć, lecz raczej ich spotęgowaniem przez uświadomienie sobie stanu swej duszy.

Halka patrzy na fortepian, który nęci jej wzrok coraz silniej. Stojąc, uderza parę klawiszy, ale jeszcze rozmyśla, jakby bardzo pragnęła wypowiedzieć się własną twórczością. Znajomy jej poeta przestał żyć niedawno.

Halka zastanawia się, czy podczas tych dni, podczas których konał powolnie, rozmyślał o tej drugiej duszy? czy ją przyzywał do siebie? czy umierając, żałował życia? że się nie ziściło pragnienie, a kto wie, może byłoby mogło się ziścić? Jak to jest straszne widzieć w kimś swój cały świat, wszystko, co kiedykolwiek marzenie przyniosło, widzieć ziszczonem, a jednak przejść mimo swego szczęścia, przechodzić świadomie koło niego, oddalać się krok za krokiem. Z takim uczuciem idą ludzie za trumną, niosącą w swem czarno-srebrnym sercu najdroższą im głowę.

Niepojęte wrażenie robi dziś na Halce wspomnienie tego wszystkiego. Myśli jednocześnie o sobie. Właściwie nie jest to u niej myśl, a raczej odczucie, podświadome z przeżyciami poety, kojarzenie swego stanu, którego Halka jeszcze nie zna, stanu, który należy do przyszłości. Jednocześnie z wrażeniem, przeżywanem w głębiach zakrytych przed świadomością, układają się pytania: czy ona, która była dla niego całym światem, czuła tak samo, jak on? czy i jej serce przepełniały pragnienia? czy szła obojętnie, jak przeznaczenie?

Fortepian coraz silniej nęci wzrok Halki. Już palce biegną po klawiszach, już Halka siada i zaczyna grać. Gra swój romans ulubiony.

Jak niepewną, jak pełną wahań jest dusza człowieka w określeniu swego życia. Tworzy się za młodu w my-

ślach, gmach, niby piramida rozwoju ludzkości. Tam dla każdego jest jedno miejsce zachowane. Chciałoby się, żeby to miejsce szło w górę, żeby unosiło się nad innymi, lecz nie w znaczeniu materyalnym. Tu chodzi o rozwój własny, o potęgę swej duszy. Więc serce zrywa się w pragnieniach, a oczy zdają się widzieć jedną jedyną drogę przed sobą.

Zdaleka huczy grom, zdaleka nadciąga burza. Droga przed oczyma zalana deszczem i ciemnością. Tylko błyskawice rozdierają noc. Jakże tu iść w tę drogę samotną? Jak twarde trzeba mieć serce, by zburzyć dom rodzicielski, wiążący kajdanami. Więc dusza pełna jest wahań. Czy jedna jest droga przed nami? czy nie należałoby życia swego nakreślić inaczej?

Halka jeszcze nie wie, że są na świecie potęgi, które burzą każde samookreślenie życia, które miotają ezłowiekiem silniej, aniżeli huragan liściem, zerwanym z drzewa po drodze, a to serce jedynie się opiera, które nie jest sercem, lecz bryłą kamienia. Halka jeszcze nie wie, lecz dusza jej odczuwa nieznanne światy. Spadają z klawiszów tony, jak burza, jak huragan, wyrwywają się przez okna, lecą w ciemny wieczór po nad liśćmi drzew, zlanym deszczem, po nad ponurym ogrodem, gdzie na ławce znajomej Stefan zamiera z tęsknoty.

Jeszcze nigdy romans ten nie porwał Halki z taką potęgą, jeszcze nigdy Halka nie wlała weń tyle duszy. Splotły się w jedno uczucie jej życie i jej pragnienia rwące. Przyszło z tonami muzyki niezłomne postanowienie. Otwarła się największa człowiecza własność, to, co jest w szlachetnych sercach szczytem wszelkiego dobra:

vogue la galère. Już nie będą rozumem ludzkim wbi-
jane baryery. Niech uczucie ponosi człowieka, niech jego
dusza staje się wszechwładną.

Gdy dobiegała rzecz muzyczna do końca, podniósł
się z pod palców hymn nadziei.

To słońce wschodził

Halka przestaje grać. Łzy lecą z oczu rzewne, ci-
che. Wkrada się do serca ukojenie.

Już późnym wieczorem Halka rozbierała się do snu.
Stała przed lustrem w białej spódniczce, w staniku; roz-
czesywane włosy spadały przez nagie ramiona do pasa.
Myślała znowu o Stefanie. Zdawało się jej, nie wiado-
mo czemu, że ten ogrodnicyk zaważy w jej ducho-
wym życiu. Spoglądała raz po raz w lustro. Ślicznie jej
było w tym płaszczu z włosów, w nagości ramion, prze-
bijających przez ciemne pasma, ślicznie w tym kształcie
wychylających się z pod stanika, jakby z marmuru wyku-
tych piersi. Uśmiechała się do jakowejś myśli, która bie-
gła chyżo to tu, to tam, zmieniając swe miejsce, jak kie-
dy w dzień słoneczny latają barwne motyle z kwiatu na
kwiat to znów zamigocą w błękicie i słońcu.

Nagle na dole w pokoju kredensowym rozległy się
głosy obce, zmieszane, otwieranie drzwi, tupot butów
ciężkich o podłogę, brzęk szablic. Halka zgarnęła szyb-
ko włosy w jeden ciemny pęk, owiązała go koło głowy.
poczem kładła szybko matinkę na ramię. Lecz nim zdą-
żyła włożyć, usłyszała trzask, jeden po drugim, szybki,
i jeszcze jeden i jeszcze jeden, jakies szamotanie się ciał,
huk lecącego stołu, brzęk rozbijanych talerzy, łamanie
się drzwi... Chciała krzyknąć, chciała biedz, nie mogła.

Obezwładniona oparła się o ścianę. W szumie bijących pulsów usłyszała, jak stoły i krzesła upadają z łoskotem; jeszcze jeden trzask po drugim, szalony bieg po schodach i nagle, prowadzące do jej pokoju, drzwi wyłeciały, jak wichrem otwarte. Stał przed nią Stefan zdyszany, bez jednej kropli krwi w twarzy. W oczach błyskawice.

— Co się stało? co się stało?—wyszeptała.

Objął ją nagłym wejrzeniem. Przez chwilę, przez małą chwilę, zdawało się jej...

— Nic... cicho... przyszli mnie brać... zabiłem ich!

Lekko, jak o zwykłym dniu, przywarł drzwi za sobą, zamknął na klucz, potem przebiegł na palcach do okna, otworzył je i wyslizgnął się w ogród ciemny. Zdołała dosłyszeć, jak szepnął:

— Zamknijcie szczelnie okno.

Bezwiednie zamknęła je i zapuściła storę. Nowy tupot butów po schodach, dobijanie się i wyważanie jej drzwi były już dla niej odgłosami obcymi, dalekimi, jakby z innego świata. Uczuła straszny, nieludzki ból w sercu, a oczy jej zasnuły się nieprzeniknioną mgłą.

Gdy odzyskała przytomność, ujrzała przy swem łóżku szynel oficerski i twarz, obrosłą czarnymi włosami. Natrętne pytania, zadawane w „przywiślańskim“ języku, waliły ją w zbolały mózg. Nie umiała i nie chciała odpowiadać na nie.

— Nic nie wiem, nic nie pamiętam, czego chcecie ode mnie?

Wolno i sennie powtarzała to samo. Wreszcie po-

rwało ją nerwowe drżenie, a wówczas czarna, brodata twarz nachyliła się nad nią i zamamrotała niewyraźnie:

— Niech się panienska niczewo nie boi, rewolucyjonist uże daleko uszoł.

Wówczas myśli jej złożyły się w szept błagalnej modlitwy: Boże! Boże! ktokolwiek on jest, ratuj go.... a czarne, nieprzejrzane mgły napłynęły na oczy nową wezbraną falą.

VIII.

Lato chyliło się ku końcowi. Wrześniowe wichry zakryły niebo szaremi chmurami, wyjąc, szły przez podorywki polne, wpadały ostrymi językami między drzewa ogrodu i tu chychocąc, podrywały z ulic liście przedwcześnie opadłe, zwijały je w skręty i niosły przed sobą. To znów wpadały do podwórza między śpichrzem a szpalerem świerkowych drzew, i jak rozwścieczone psy ciskały się na kalonki słomianych dachów, gryząc je i szarpiąc zajadle. Stara chorągiewka na śpichrze, potrącana ich piersią, odzywała się raz po raz chrapliwym głosem.

Szare jezioro, leżące w cichej kotlinie, okolone lasami z dwóch stron, szumiało długo, monotennie. Fale biegły od strony, gdzie woda rozlewała się w odstęp szerzej rozwarty i wystawiony na uderzenia wichrów. Szły stamtąd fale jedne za drugimi, bez początku, wyrastając z dali i ginąc dopiero na żółtych piaszczystych wybrzeżach. Na ich wygiętych grzbietach leciały smugi białych pian. Woda klapała o łódki, uwiązane u pali, i przelewała się przez kładki, założone do czerpania wody.

Halka, otulona jasno-żółtym pledem, siedziała na ławce. Przed nią zbiegał do jeziora otwarty taras ogrodu. W zamyśleniu patrzyła na lecące fale wody. Żal, tęsknota za niewiadomą ludzkiego bytu, próżnia obecnego życia wypełniały jej duszę. Jakże odmienną czuła się od dawnej Halki, oddającej się z pewnym zamięłowaniem gospodarstwu wiejskiemu, leczeniu chorych, nauczaniu dzieci. Jak nagle, jak potężnie załamała się w niej dotychczasowa linia życia. Nieznany wstręt do wszystkiego, co powszednie, płaskie, do wszystkiego, co pozbawione bohaterских wysiłków, wypelzał z głębin jej ducha. Ach! jak marne wydały się jej dotychczasowe społeczno-filantropijne zabiegi. Porywał ją gorzki śmiech nad sobą. Ileż lat zmarnowanych, lat najżywszej młodości!

Czemże była ona wobec Stefana? czem było jej życie dotychczasowe wobec życia ludzi, walczących o ideę? Śniła niegdyś, że sturamienny potwór położył na jej piersiach swoją zimną, ślizką pierś, o jej oczy oparł tępy wzrok, a ramiona jego wolno, wolniutko, jakby pracą całych lat, zasuwały się wokoło sennego ciała. To było jej życie.

Z nabożnem skupieniem wywoływała w pamięci szczegóły upłynionej wiosny i lata. Gdyby mogła odwrócić czas. Ach! czemuż nie pojęła jego duszy, nie weszła w jego świat? Minęła go w życiu obca, daleka, zapoznana.

Postać Stefana rosła w jej oczach do legendowej wielkości. Po dziesięć, po stokroć razy kazała opowiadać sobie szczegóły walki krótkiej, a tak zuchwałej. Sam je-

den zabił dwóch żandarmów, poranił dwóch strażników, a potem zmylił czujność żołnierzy. Szukano go w każdej skrytce, za każdym sprzętem, nieomal w każdej szparze domu. Gdy żołnierze przemacali całą górę i upewnili się, że Stefana nigdzie niema, odważył się przyjść na górę sam naczelnik i wówczas powtórnie długo szukano. Wreszcie wpadnięto na domysł, że rewolucjonista uciekł dymnikiem na dachu. Halka sama z początku nie wiedziała, jak Stefan wy dostał się przez okno. Czy skoczył? lecz w takim razie byliby go usłyszeli i zobaczyli żołnierze. Przypatrując się oknom, badając ślady na murze, przekonała się, że Stefan przemknął się po gzymsie, doszedł do narożnika domu, a potem spuścił się pomiędzy grupę świerków, stojących przy werandzie.

— Mój wielki! mój bohater! — wymawiały jej usta.

Naczelnik przyznał się, czemu to posłał na pierwszy ogień podoficera żandarmskiego.

— Nu, ja nie durak leś' pierwszym. Ja zrazu widział kaku on ogrodowczyk. Wy nie znajecie, czto on szwarował brauningi na polski bunt.

Każde z tych słów padało na jej duszę, jak na rozmarzone nocą oczy pada nad ranem sen o kwiatach, które uwielbiające ręce rzucały pod stopy tryumfatorów. Z dobrocią wielkiego rozumienia sprawy darowała rodzicom, gdy wymawiali sobie nawzajem lekko-myślność przetrzymywania u siebie tak niebezpiecznego człowieka.

— Słyszałaś?—sam naczelnik mówił o rewolucyi. Ty, głupia dziewczyno, śmiejesz się, ale my starzy, żeśmy tak dali się wziąć—mawiał pan Krzyżtoporski.

— Ja zawsze mówiłam, ja dawno wiedziałam, że tak będzie. Ale ty miałaś słabość do niego.

— Ależ duszko, przecież i ja...

— Co ty wiesz? Kiedy zbił doniczkę, tak mu źle z oczu patrzyło, że trzeba było odrazu oddalić go z miejsca. Nie byłoby tyle kłopotu, rewizyi, starań. Ale cóż? Ja, kobieta nie mam nigdy rozumu, dopiero jak po niewczynie, to do mnie.

Pan Krzyżtoporski chodził i wzdychał.

— Mój Boże! któż mógł wiedzieć? Ale że też od razu tego nie mówiłaś?

— A bo to byłbyś mnie słuchał? Bo to ciebie nie znam?

Znikąd pociechy dla własnej ułomności. Wreszcie myśl:

— To wszystko ci Niemcy. Pieniądze pruskie robią nam agitatorów, a cóż biedny człowiek poradzi?

Wpłynęła z tą myślą ulga do serca, co już poczyniło wątpić o sobie.

A Halka śmiała się z urojeń rodzicielskich, choć nigdy im nie przeczyła. Od ostatniej gwałtownej utarczki unikała sporów. Cóż ją obecnie obchodzić mogła gracznych słów? Już inny, odrębny świat poczynił się zwolna przed nią odsłaniać, daleki, niewyraźny, ale nęcący. Najchętniej stroniła od ludzi, żeby oddawać się samotnym rozmyśleniom. W takich chwilach lubiła rozpamiętywać każde słowo otrzymanego listu. Pisał:

„Moja Jaśnie Panienko! Niech Jaśnie Panienska wybaczy byłemu ogrodnicykowi, że odważa się przemówić do niej głosem szczerym, ale już i tak dość długo mu

siałem tłumić słowa, które rwały się z ust spragnionych. Zamykała je trwoga przed drwiącym uśmiechem. Ale dzisiaj, gdy odchodzę w świat daleki, gdy może już nigdy nie ujrzę ust uśmiechniętych, oczu niezapomnianych, z których zapewne w tej chwili przebija zdumienie nad moją czelnością, jakoś mi lżej wypowiedzieć dziękczynienie za radość tych wszystkich dni. Chciałbym uczynić to w najlepszych słowach, jakie umiem wydobyć z myśli, ale prostak jestem, Jaśnie Panienko, prostak jestem, który umie czuć więcej, niż inni, ale nie zawsze wyrazić. Niech mnie Jaśnie Panienska wierzy, gdy myślę o niej, dziwna modlitwa wzbiera w mem sercu. Była Jaśnie Panienska dobrą, przeczystą i tak ogromnie umiłowaną. Taką modlitwę rozumieją tylko kwiaty, rozumie ta ziemia szara, gdy z wiosną od słonecznej radości poczyną żyć i stroić się weselem. Dziękują słońcu — kwiaty i ziemia — za promienie, choć słońce świeci daleko i obojętnie.

„Odchodzę w świat daleki, odchodzę innym człowiekiem. Otworzyły się oczy moje na sprawy, dotąd nieznanne, a dusza wzięła nowe skrzydła. O czemuż nieodłączne myśli moje nie umieją wyrazić porywów duszy? O czemuż nie znajdują nic innego — nad pożegnanie na zawsze, nad żal, który rozdziera serce?

„Muszę zapomnieć, a nie mogę. Muszę być silnym i mężnym, a jeszcze jestem słaby. Może ta walka, do której wracam, zahartuje moje siły.

„Nie spotkamy się w tem życiu, bo ono nas dzieli przepaścią stosunków. Ja, którego dni i godziny są policzone, wracam do roboty pod innym już mianem. Stefan Żuczek przestaje istnieć w pamięci świata“.

List otrzymała z rąk kikutającego dziada. Długo, długo nie mogła rozerwać koperty. Strach przed nieznanymi objawieniami odjął jej odwagę. Włożyła list za przód staniczka i poszła do domu. Lękliwie obeszyła pokoje. Sprawdziła, że wszyscy są zajęci, że nikt nie zwraca na nią uwagi, a zdawało się jej, że każdy będzie o list pytał. Dopiero potem poszła do siebie na górę.

Odtąd z zachłanną uwagą wczytywała się w jego treść. Po stokroć, po tysiąc razy powtarzała słowo za słowem. Jak odmienną była ta melodia od banalnych, obrzydliwych wyznań, któremi zanudzali ją wielbiciele. Już nigdy, nigdy nie chce słuchać ich głupstw, już nigdy nie pozwoli sprofanować tego wyrazu. Cichemi, najcichszymi słowami, jakby pieszczotą myśli, starała się odpowiadać na list. Próżno szukała określeń. To, co przedtem w niej żyło, umarło bezpowrotnie, a nowe życie jeszcze nie stworzyło własnych form.

Podniosła się z ławki i poszła długimi ścieżkami ogrodu. Przystanąła niedaleko domu nad obumierającym klombem. Tu razem kreślili plany przyszłych przepychów. Już zdążyła wyrosnąć ruń zielonej trawy, już zdążyły kwiaty dobiegać kresu życia. Wszystko się kończy, wszystko przemija, a szczęście, które raz przeszło obok człowieka, już nigdy do niego nie powraca.

Pobiegła znów nad brzeg jeziora, z dziką rozkoszą stanęła nad otwartą przestrzenią. Po białych pianach wody leciał zachodni wiatr. Objął ją wpeł, rozerwał szal na piersiach, szarpał za niesforne skręty włosów. Wiej wichuro! Z szumem leciały po jeziorze zwały wód i wysokie, długie, nieskończone rzędy białych pian. Ten szum—to płacz jeziora, a białe bryzgi—to łzy.

IX.

Wolno przychodziła Halka do sił. Czuła się, jak po ciężkiej chorobie, która ją zwała z nóg. Napozór nie była chora. Lekarz, sprowadzony z pobliskiego miasteczka znalazł ogólne wyczerpanie, rozstrój nerwowy, trochę początków anemii. Ciało jej było zdrowe, ale stało się w niej coś, czego nigdy przedtem nie doznawała. Pobladł w jej oczach cały świat. Stała się jesień wokół i w niej samej. Te liście żółte, które zaścieniały ulice ogrodu, te szare zwały chmur, przeganianych po niebie, to jezioro szare i pluszczące monotonnie, były barwą, wyglądem, szumem, jakby obrazem, jej duszy. Przybyło jej dziesięć lat życia. Jakieś ciężary zwały się na nią, tłoczyły serce, że miewała cielesne wrażenie straszego pobicia. Oczy widziały przed sobą pustkę beznadziejną, zerwany kwiat życia i zdeptany nogą bezlitością. Cóż ona teraz mogła począć? Jakże rozpocząć walkę z tym światem, który był w Wyrwach, kiedy ona sama potrzebowała pomocy?

Z jednej się tylko cieszyła sprawy. Oto jej ciężkie przejścia ułatwiły unikanie pana Kazimierza. Tłumaczyła się przed rodzicami bólem głowy, wyczerpaniem sił, zderwowaniem, to wreszcie wstrętem do włożenia gorse-tu. Chodziła po ogrodzie, zaglądała czasem w pola, które szarzały od pierwszych podorywek, ale jakże mogła pokazać się panu Kazimierzowi, nie będąc wykrygowana. Ten argument przemawiał najzupełniej do rodziców. Więc gdy pan Kazimierz przyjeżdżał z bukietami kwiatów, tłumaczyli mu, że córka jest chora, kwiaty przywie-

zione posyłali na górę, a za to w trójnasób długo, serdecznie zabawiali miłego gościa w salonie. Halka rozweselała się szczerze, patrząc z ogrodu przez oświecone wieczorem okna, jak pan Kazimierz wzdycha i wyczekuje, a z jednej strony jego siedzi ojciec, z drugiej matka jej i oboje starają się być jak najprzyjemniejsi.

Stopniowo jednak Halka do sił wracała. Jedynie rozdrażnienie nerwowe nie mijało, a nawet wzrastało, wyrażając się często w gwałtownych scenach. Stosunek jej do rodziców zmienił się znacznie. Dawniej słuchała spokojnie marudzeń, ulegała ich przemożnej woli. Jedynym wewnętrznym protestem bywał płacz, starannie ukrywany na górze w pokoju. Oczy, żeby nie świadczyły, były przemywane po dziesięć, po dwadzieścia razy wodą. Teraz przeciwnie, nie pozwalała sobie nic powiedzieć. Przy każdej sposobności, ile razy poglądy rodziców odbiegały od jej zapatrywań, napadała na nie w uniesieniu Państwo Krzyżtoporscy wyrozumiewali córkę, przypisując jej stan wewnętrzny przejściom gwałtownym i wynikiem stąd zdenerwowaniu, i dlatego ustępowali.

A w niej przeobrażało się wszystko. Jej dawne życie duchowe, ciasne w swych ramach, lecz głębokie pragnieniami, poczynano się rozlewać szerzej. Nie brało na się kształtów widomych, żyło raczej nieświadome, lecz jednak żyło, i żyło coraz szerzej. Nie zajęte dotąd światy jej uczuć poczynaly się wychylać z ukrycia i domagać swych praw. Zdawało jej się, że ich nikt nie zamieszkiwał jeszcze, że niczyje oczy, niczyja dusza nie przemykała się po tych najtajniejszych otchłaniach,—a jednak szedł tamtędy coraz większy niepokój.

Pewnego dnia niezłomny plan zrodził się w jej myślach. Postanowiła zostać nauczycielką gdzieś na wsi w zamożnym dworze, pieniądze zarobione odkładać, a potem kształcić się za granicą z pomocą zbieranego funduszu. Miała potemu niejaki kwalifikacje. Ukończyła pensję z odznaczeniem, znała język francuski, angielski, niemiecki, grała wcale nieźle. Więc poszły listy, przysły oferty i układ miał już być zawarty. Nie miała jeszcze odwagi powiedzieć rodzicom, że rzuca ich dom. Chciała to powiedzieć spokojnie, stanowczo, wyjawić jako postanowienie nieodwołalne. Bała się trochę swego wybuchowego usposobienia, scen, płaczów, zupełnie niepotrzebnych. To ją najwięcej gniewało, że wiedziała, że się rozpłaczę. Już teraz, kiedy myśli o tem, coś ją za gardło ścisnęło. Ale pomimo to z dnia na dzień rosła siła postanowienia.

Ze zdumieniem usłyszała od ojca, że matka chce ją odwieźć do Warszawy i tam na dłuższy czas zostawić. Najlepiej, jak się sama rozejrzy w świecie, pozna ludzi i stosunki. Mieszkać będzie u cioci Pęśławskiej. Co do jej planów uniwersyteckich, to się jeszcze zobaczy. Niech przebędzie jesień i zimę w Warszawie, niech dojdzie najpierw do zdrowia. Zdumiona, zaskoczona nagle dobrocią ojca, rzuciła mu się z płaczem na szyję.

Minęło jednak parę tygodni, zanim wyjechano do Warszawy. Należało przygotować suknie, pani Krzyżtoporska miała jeszcze niektóre ważniejsze zajęcia w domu. Przez ten czas Halka przychodziła szybko do sił. Stała się spokojniejszą, a dla pana Kazimierza łaskawą. Dopuściła go do swego towarzystwa, nawet pozwoliła, że

kiedy przyjedzie na zimę na karnawał, będzie u nich bywał. Umówili się o pierwszy taniec. Świat jest taki dobry, piękny. Czemuż miała ranić serce panu Kazimierzowi?

Droga do Warszawy szła wolno, rzemiennym dyszlem Pani Krzyżtoporska opuszczała dom w rzadkich okolicznościach, lecz gdy się raz ruszyła, już z lżejszem uczuciem czyniła zadość potrzebom towarzyskim i potrzebom serca. Wstąpiła przedewszystkiem do drugiej starszej córki, od paru lat zamężnej, a mieszkającej pod Włocławkiem. W okolicy Kutna miała serdeczną przyjaciółkę z lat młodości, panią Badzińską, więc nie wypadało nie wstąpić, przejeżdżając tak blisko. W Skierniewicach mieszkała z „własnych funduszów“ stryjeczna siostra pana Krzyżtoporskiego. Wreszcie wstąpiły obie panie pod Rudą Guzowską do bezdzietnej ciotki Tołczanowskiej na jeden dzień tylko, jak zaręczała pani Krzyżtoporska.

Lecz w tym czasie wybuchł wielki, strejk polityczny. Stanęły koleje i życie zamarło.

Pani Krzyżtoporska była wzburzona tem wyraźnem nieposzanowaniem porządku.

— Czegóż oni chcą? do czego doprowadzą? — mawiała.

Gdyby mogła, „wyrznęłaby“ prosto w oczy prawdę wszystkim kolejarzom. Lecz minął jeden, drugi dzień, a ruch nie powrócił. Przeciwnie, przyszły wieści o zamiarach wytrwania w bezrobociu aż do chwili otrzymania swobód. Wówczas pani Krzyżtoporska uczyła się zrozpaczoną.

— To oni wszystkiego narobili, ja wiem, że to oni.

— Któż, mamo?

— A ten twój ogrodnicyk. Broniłaś go zawsze, a teraz masz. Wyjechałam na dni parę, Bóg wie, kiedy wrócę. Myślisz, że Mielnicka gospodarstwa dopilnuje? Ja wiem, że nie dopilnuje. No, poradź teraz, kiedyś taka mądra.

Halka nie wysilała mózgu na żadne rady. Stała się mało wrażliwą na desperacye matki, a tem mniej na troskę o gospodarstwo. Czasem próbowała uspokajać panią Krzyżtoporską, ale gdy słowa jej zwiększały rozdrażnienie, dała i temu pokój. Ją samą ogarniało duszne podniecenie. Wyłaniał się, jak gdyby z piersi, nowy nerw życia. Oczy otwierały się po długim śnie, oczy lękliwe jeszcze, nie świadome dróg, ale już widzące zgoła inne światy przed sobą. Wstawała w dalekich przestrzeniach nieuchwytna mgławica myśli i czynów ludzkich. Szła z rozpostartemi skrzydłami nakształt czarnej, wolno ciągnącej burzy. Jeszcze oczy nie widziały jej błyskawic, jeszcze nie umiały poznać, jakie gromy niesie ze sobą, ale już pierwszy powiew uderzał falą o duszę.

Halka jeździła codziennie gdyby mogła, toby i dwa razy na dzień—po wiadomości na kolejową stację. Z jaką rozkoszą stawała na rdzawych kamieniach nasypu. Stoi i słucha. Cicho, posępnie śpią parowozy i puste wagony. Nie zabrzączy dzwonek stacyjny, nie uderzy sygnał. Stoi i czeka. Ani jeden pociąg nie leci, ani jeden obłok dymu nie wykwita na dalekim widnokręgu. Tylko puste szyny lśnią i giną w nieskończoności. Chciałyby zawołać do szyn: o siostry moje, bierzcie mnie ze sobą, nieście na waszych ślizkich żelazach w dal tęsk-

niącą — niech wiem, co się dzieje za siódmą rzeką, za siódmą górą.

Potem szła na stację, ale tu nie umiano jej objaśnić. Mówiono tylko, że nie ta jedna stacya tonie w grobowem milczeniu, nie tylko Warszawa i kraj, lecz również cała Rosya stoi zaklęta wolą ludu.

Szły już wielkie dni.

A Halka czekała w coraz większem naprężeniu ducha. Wzrok jej błądził po nieobjętych przestrzeniach, ogarniał olbrzymim rozmachem wszystkich lud, żyjący na tej ziemi, i niósł potężne wrażenia do wnętrza duszy. Płomień, trawiący rdzę życia, podsycił niewiedomie gorączkę wyczekiwania.

Aż wreszcie przyleciała wieść skrzydlata.

Halka, przyjechawszy raz ze stacyi, wpadła do pokoju z wypiekami na twarzy.

— Ciociu! Zwycięstwo! na całej linii zwycięstwo!

— Co mówisz? co się stało?

— Konstytucya! Warszawa iluminowana! lud na ulicach!

A ciocia, która właśnie zdejmowała okulary z czytających oczu, zerwała się na równe nogi.

— Lud na ulicach, mówisz? Lud na ulicach!?

Szara cera staruszki stała się jak kreda białą. Halka, splótwszy ręce przed sobą, biegła w uniesieniu wokoło stołu.

— Rząd ustąpił. Wydano manifest. Już koniec naszej niedoli, o ciociu droga!

Naraz odwróciła oczy.

— Ciocia płacze?

— Dziecko! Przeszło czterdzieści lat czekały stare oczy. Czy serce mogło się już spodziewać?

— Dobra, pocziwa ciocia. A ja, choć się spodziewałam, choć się cieszyłam, że tak się stanie, a tak mi dziwnie jakoś, tak dziwnie. Wie ciocia co, postanowiłam, że pojedziemy razem z ciocią. Muszę już do Warszawy, nie mogę dłużej, choćby przyszło samej po planie lecieć. No dobrze, cioteczko kochana?

— Ja nie mam nic przeciwko temu, ale czy pociągi ruszą?

— Co tam pociągi. Mówią, że ruszą nie prędko. Wprzód musi być dana autonomia i prawdziwa swoboda. Mówili kolejarze, że przedtem ani jednego wagonu nie puszczą, Ale czy to tak daleko do Warszawy? czy końmi nie można?

Drzwi się otworzyły i weszła pani Krzyżtoporska.

— No jakże tam? Odbudowaliście już Polskę?

Halka powtórzyła wszystkie wiadomości. Na twarzy pani Krzyżtoporskiej znać było niezadowolenie. Stało się widocznem, że bagatelizowanie strejku przez nią nie miało słusznych podstaw. Ale nie dała za wygranę.

— Zobaczymy, co z tego będzie.

Wówczas Halka przedstawiła swą prośbę. Pani Krzyżtoporska zgodziła się nadspodziewanie prędko.

— Ależ owszem. Jedźcie razem. Ja tu pozostanę i wrócę do domu, gdy koleje ruszą. Przecież rząd nie pozwoli tak długo na te głupstwa. Halkę, moja droga, umieść u Pęśławskiej. Niech ma nad nią oko. Niech się Halka nie eszofuje za nadto, bo jej z tem nie do twarzy.

Nazajutrz, skoro tylko dzień poczęło, pojechały rozstawnymi końmi.

Był dzień listopadowy, nieco mglisty, ale cichy i pogodny. Około pierwszej po południu wtoczyło się lando do miasta. Cisza! Ani jedno koło nie stuknie o wyboisty bruk, ani jeden tramwaj nie przemknie i nie zadzwoni. Sklepy zamknięte, wystawy zamknięte, a ludzie wałą całą szerokością ulicy, śpieszą się, lecą.

Olbrzymie lando trzęsie się samotnie po bruku. Stangret ogląda się trwożnie na panią Tołczanowską, ale ta każe mu jechać dalej. Wtem na jednym z rogów ulicy zastępuje im drogę kilku wyrostków. Wstrzymują konie. Halka wychyla się i pyta o przyczynę.

— Strejki! nie wolno jeździć.

— Myśmy o tem nie wiedziały. Jedziemy ze wsi dalekiej. Chcemy tylko do naszego mieszkania.

Otrzymały pozwolenie jechania dalej, nawet przepustkę w formie odręcznie napisanej karteczki z podpisem: Proletaryacki związek robotników Polski i Rosyi. Dojechawszy do ulicy Pięknej, rozgościły się u cioci Pęśławskiej, w jej własnej kamienicy. Halka chciała odrazu lecieć na miasto. Pod wielkim naciskiem ciotek musiała zjeść gorące śniadanie. Potem wyszła sama. Umówiły się, że ciocia Tołczanowska wyjdzie później po odpoczynku, a zejda się wieczorem na obiedzie.

Halka, wyszedłszy z Pięknej, skręciła w Marszałkowską.

Błysk jasny i długi. Przez całą ulicę aż pod ogród jedno oślepiające wrażenie. Onaż to, Warszawa? Szła Halka powoli, powoli zanurzała się w odmęt, a potem

nagle przyspieszonym krokiem przebiegła całą długość raz i drugi. Oczy, zastygłe z wrażenia, nie zdawały sprawy myślom. Bił niezrozumiały gwar rozmów, szum ludzkiej, rozbującej fali. Po gładkim drewnianym bruku, jak po olbrzymiej salonowej posadzce chodzą tłumy, stąpają cicho, swobodnie. Gwar rozmów. Ani koni, ani dorożek, ani powozów. Ludzie przystają, łączą się w gromadki, potem znów gromadka rozwija się, rozpierzcha i tylko małe fale ludzi, jak kręgi uderzonej wody, rozchodzą się po ulicy.

Wysięk myśli. Wspomnienie.

Byłżeby to plac św. Marka?

Ani jedno koło nie zaszumi wartkim pędem, ani jedna podkova nie zadudni na drewnianych kostkach bruku.

Tylko gwar rozmów, jakby echo odległych miast.

Halka zatrzymuje się. Wzrok jej szuka punktu oparcia, skąd mógłby wydobyć klucz do nieodgadnionej treści. Pada na większą gromadkę ludzi. W zbitym tłumie widać żywsze podniecenie. Tłum rusza się i zacieśnia koło. Za chwilę z jego mrowiska dzwiga się w górę ciemna postać, podnosi się coraz wyżej, aż staje na barkach towarzyszy mówca, wzniesiony rękoma na żywą trybunę. Halka widzi, jak zdejmuje z głowy szeroki, filcowy kapelusz. Powiewa nim w górze, niby czarnym sztandarem i mówi...

Czyni się straszliwa cisza. Słychać oddechy ludzkie. Obnażone głowy zwracają ku niemu wzrok pałający. Halka, przytłoczona do muru, słuchała z bijącym sercem.

— Rewolucya idziel gniew ludu idziel Nie w pro-

cesyjkach z księżmi na czele, nie po drogach, usłanych listkami kwiatów. Rewolucya idzie w płomieniach, z mieczem w jednym ręku, z piorunem w drugiej. Przed nią zemsta i śmierć, za nią pustka straszliwa, a nad naszymi głowami łopocą czerwone sztandary, sztandary krwią zbryzgane, waszą krwią, twoją krwią, polski robotniku!

— W imię wolności czeka ciebie walka olbrzymia. Przed murem twych piersi żelazny las bagnetów, czekają na ciebie gotowe więzienia, łańcuch niewoli skręca się około szyi—ale zwyciężysz solidarnością proletaryacką! Dziś jeszcze nie masz w ręku dział i karabinów, ale już masz inną straszliwą siłę—masz strejk!

— Obywatele! do ostatniej kropli wody! do ostatniego kęsa chleba—strejk! Nie wierzmy obłudnym obietnicom. Dano nam krwawą naukę na placu Teatralnym. Jeszcze nie wyschła z kamieni krew ludu polskiego. Obywatele! póki nie uwolnią towarzyszków z więzień, póki nie ogłoszą konstytuanty, póki nie oddadzą broni milicyi ludowej—strejk!

— Strejk! strejk!—wołają donośne głosy.

— Na stryczek z tymi, którzy odwodzą od strejku! na stryczek z narodowcami!

— Na stryczek! na stryczek!

— Zdejm czapkę — odzywa się jakiś człowiek w bluzie do stojącego obok poczwiwca—nie słyszysz pan? o rewolucyi się mówi!

Mówca z wielkim, filcowym kapeluszem w ręku poprawia się na ramionach towarzyszków i woła:

— Obywatele! spojrzycie wokoło siebie. Oto pała-

ce przed wami. W pałacach przepych. Złoto i wino leją się strugami. Czyje to ręce wzniosły te gmachy? czyje to ręce stworzyły ten przepych? Twoje robotniku polski! Z twojej krwi, z twego potu płynie złoto w ich kieszenie, wino w ich gardła. A ty mrzesz z głodu, twoje małe dzieci wołają w suterynach: chleba! a matka próżno łamie w rozpachy ręce nad niemi. Chciałaby piersi dać niemowlęciu. Piersi próżna! Wyssała ją praca dla burżujów. Idźmy do wnętrza ich pałaców. Spójrzmy im w oczy, tak strasznie, jak tylko jedna śmierć umie spoglądać. Któż wy? jak śmiecie?

Nagle ktoś krzyknął:

— Wojsko idzie!

Tłum zakółsał się, jakby uderzony nagłym wichrem. Dziesiątki głosów zaczęły wołać:

— Wojsko strzela!

Silniej uderzył podmuch strachu. Mówca ześlizgnął się szybko z ramion towarzyszy i zmieszał się z tłumem. Ludzie pierzchali trwożnie. Gromady ich cisnęły się po bramach, przywierały do ścian kamienic. Ulica pustoszeje. Za chwilę przeleci przez nią karabinowa salwa. Kto się nie skrył w bramie, kto się nie przycisnął do muru, zginie! Już tłum ludzki widzi, jak się podnoszą karabiny, już słyszy chrzęst zapadających zamków...

Próżna obawa.

Środkiem ulicy miarowym krokiem idzie oddział wojska. W tej ciszy straszliwej słyhać rytmiczne uderzenia butów o bruk drewniany. Wojsko przechodzi jakby tunelem wśród żywych ciał, mija ludzi spokojnie i ginie na zakręcie ulicy. Jeszcze w uszach dudnią uderze-

nia obcasów, jeszcze wyobraźnia oddaje szcęk zapadających zamków, ale już śmielsi zrywają się ku środkowi ulicy. Za nimi wylewa się z bram, z zaułków, z podóścian domów fala ludzka, jakby z wiosną nieskończona ilość strumyków z pod otwartej skorupy śniegowej. Idą już, zlewają się razem, znów szumi jedna wezbrana rzeka.

Halka traci poczucie woli. Z tłumem się cofa, z tłumem napowrót wylega. Znów widzi, jak mały człowieczek z krótko przystrzyżoną brodą wspina się po drabince, opartej o ścianę domu. Gdy dosięgnął jej szczytu, odwraca się do ludu.

— Słyszeliście panowie, że chcą ludzie zbrodniczej ręki zrobić pogrom żydom? Cóż wy na to mówicie? Wszak nie pójdziemy bić żydów, mordować naszych braci. Czy ten żydek, który razem z wami mrze z głodu, nie jest waszym bratem? czy to dziecię żydowskie, które odsłoniło wątlą pierś i wołało do żołnierza: tu w serce bij za naszą wolność kochaną, nie jest waszym bratem? czy ten plwany i kopany proletaryat żydowski nie jest bratem proletaryatu polskiego? Narodowcy chcieliby splamić to wielkie święto ludu przez pogromy. Precz z narodowcami! precz z tymi, którzy chcą urządzać pogromy, wszak nie pójdziecie bić biednych żydków?

— Nie pójdziemy! Nie pójdziemy!

Mała staruszczyzna zbliża się do Halki. Cichutko szepce, żeby nie być przez kogo innego słyszaną.

— Boże! cóż oni wygadują bezbożniki! Czy to tak bywało za moich czasów? Wiara i ojczyzna — mamlają bezzębne usta.

Ale uwagę Halki odrywa widok młodej panienci. Szykownie ubrana stoi pośrodku ulicy. Parasolką wybija takt do własnych słów. Wokoło niej zaciekawiony tłum.

— Czem była dla was Polska? katorgą! Polska to panowie! to szlachta! to wasze długowieczne kajdany! Polska to wasza ciemnota i wyzysk, to wasze upodlenie i łzy, to wasza krew niewinnie ciekąca z ran otwartych. Polska to hańba narodów! Od kolebki pędzono was batami do roboty, katowano na śmierć. I wy chcielibyście dzisiaj jej ręce lizać? Wstyd i hańba! A dla nas żydów Polska nie była lepsza. Dzisiaj po wiekach ucisku, po wiekach prześladowań szykują nam pogrom. Precz z taką Polską! precz z oddzielnym autonomicznym krajem! niech żyje jedna, ogólna konstytuanta! jedno wielkie socjalistyczne państwo!

Halka wyczekuje ze wzburzeniem.

Ani jeden głos protestu! ani jeden!

Ktoś trąca Halkę, Obraca się. Sympatyczny z wyglądu, około dwudziestu lat chłopak podaje litografowaną odezwę.

„Rodacy! Jakież ciemne osobistości obchodzą ulice i namawiają do bicia żydów. Polska wolna nie znała nigdy takiej hańby. Nie brukajmy i dzisiaj jej świętego imienia. Niech będzie matką dla wszystkich. . . .“

Halka przebiega szybko oczyma resztę odezwy. U dołu spostrzega podpis: „Narodowy Związek Młodzieży Robotniczej“.

Więc czemuż tamci?

Już zmrok zapada.

Halka wchodzi do Saskiego ogrodu. Ogród cały, jak wielki salon, ustrojony szeregami bezlistnych drzew. Ludzie i tutaj stoją skupieni w małych, oddzielnych gromadkach. Głowy ich odkryte. Halka przystaje i słyszy:

— Podnieście dachy więzień. W krwawych koszulach, sini od uderzeń kolby leżą pokotem ludzie. Któż oni są? Jaka ich dola przygnała na dno tej nędzy? To robotnicy, to bracia wasi. Leżą na wpół umarli. Śnią się im jeszcze mary dziwne. Śni się im wolność. Ta wolność, za którą krew przelewali, za którą ciało kawałami z nich odpada. Długoż będziemy my cierpliwi? długoż serca nie zerwą się gniewem pomsty? Czy ręce nasze bezmocne? czy w piersiach nie mamy piorunów, które świat zapalą?...

A dalej znów słyhać głos inny:

— Pójdziemy na wieś! Zaniesiemy pochodnię światła. Niech w ogniu krzywd stanie naga prawda przed ludem roboczym. Niech wicher naszych myśli rozniesie w gruzy szlacheckie folwarki. Ziemia jest tych, którzy pracują na niej krwawemi z wysiłku rękoma...

Halka dalej nie słucha. Potoki słów zlewają się w chaos bezmierny, który szumi w uszach, rozpiera czaszkę. Błądzi bezwolnie po krętych alejach ogrodu. Czasem przystanie na jego krańcu, za kępami szarych pni, w odosobnieniu. Wówczas jednym rzutem oka ogarnia szemrzącą w nim ciżbę ludu. Zbiera się w piersiach nowe pragnienie i gna ją z przymkniętymi oczyma napowrót w tę szalejącą falę.

Padły pierwsze światła z latarni. Widać ich rzędy na długościach ulic. W ogrodzie jeszcze szaro, półmroczno. Ludzie gubią się w cieniu.

Szybkimi krokami wybiega Halka z Saskiego ogrodu. Wystawy sklepów otwarte. Jasność zalewa ulice. Wówczas raz pierwszy przygląda się uważniej tłumowi. Powierzchniowo wydaje się on niejednorodny. Bluzy robotnicze mieszają się z eleganckimi strojami dam. Ale nastrój ogromnie równy, podniosły i tak potężny. Nawet rewirówi w swych jasnych płaszczach chodzą poufale wśród zwykłych śmiertelników i z zaciekawieniem słuchają proletaryackich przemówień.

Ludzie obcy nazwiskiem, a jakby znajomi oddawna. Przystają, zapytują się, czasem sprzeczą się o małą różnicę w poglądach, to z radością ściskają ręce. Właśnie jakiś jegomość wyklada swoje zapatrywania trzem cierpliwszym słuchaczom. Tłum nie chciał go słuchać. Rozszedł się po pierwszym słowie.

Halka wdaje się również w pogawędki, ale krótkie, urywane nagle. Jakże tu długo rozmawiać, gdy fala tłumna roznosi ludzi, jakby rzeka krople swej wody? A fala taka kapryśna, nerwowa.

Zaledwie ukaże się liczniejszy patrol, tłum rozpiera się rękoma, rozbiega, kryje po bramach. Czasem tylko żołnierz, stojący na warcie, podniesie karabin, jakby od niechcienia, jakby dla zabawki, a już przez ludzką ciżbę gna wichry strachu i ścina słowa.

Skąd ten nastrój trwożliwy?

Ach! Halka nie wie, ile już krwi wylałaś Warszawa! ile już ofiar wyniesiono do wspólnych, pokryjomy

kopanych dołów! Halka nie wie, ile nocy bezsennych wisało nad tobą! ile razy po jasnych, cudnych dniach nadziei waliły w ciebie gromy nieszczęścia!

Młody chłopak w niebieskim szaliku bierze ją po ufale za czubek łocia.

— Paniuchno, nie dziwujta się narodowi. Naród ostrzyłany, jak się patrzy, ale jak dalej tak pójdzie, pokazemy, co nasza krew.

Znów kłębią się fale, znów wzrasta nastrój podniosły. Ludzie zapominają, że przed minutą groziła im śmierć. Ginie pamięć o wszystkim, co przeszło, żyje tylko ta jedna chwila, ta chwila obecna.

A Halkę ogarnia gorączka myśli. Przeżywa odległe czasy istnień. Już raz to samo widziała, to samo czuła, ale sen długi, jak śmierć, pokrył wszystko zapomnieniem. Teraz nagle wytryska z jej mózgu pamięć i wyjaśnia najgłębsze tajniki nieznanых prawd.

— Rewolucya idzie, .. gniew ludu idzie... powtarza cichemi słowy.

Z rozkiełzaną radością miesza się z tłumem. Chciałaby wiecznie być atomem jego siły, cząstką jego uniesień. Chciałaby ze siebie wyrwać żywemi rękoma wszystko uczucie wezbrane i cisnąć w tę szalejącą rzekę.

Zmalałaś złośliwa potęgo! ułamane twoje kły!

Mimowoli wdaje się w rozmowę ze szpakowatym jegomością. Ten pan tłumaczy bezpodstawność złudzeń.

-- Wygłodzą sami siebie, wyniszczą siły, a kogóż to osłabi? rząd, czy nas?

— Ach! nie, nie..

Halka ucieka na drugą stronę ulicy.

Precz posępne kruki!

I tak mijają jej godziny w radosnych uniesieniach. Wreszcie przypomina sobie, że czas do domu wracać. Pocziwe ciotczyska zapewne mrą o nią z niepokoju. Więc skręca w ulicę Piękną, lecz nim zanurzy się w jej półmrok, jeszcze raz rzuca ośleple źrenice w całą długość Marszałkowskiej i ostatnim oddechem wchłania w siebie zwyciężką atmosferę upojonego ludu.

W domu czeka ją zawód. Trafia na sprzeczkę między obu ciotkami. Ciocia Pęśławska woła:

— A słyszałaś, jak krzyczeli: precz z burżujami! majątki im odbierać! kamienice odbierać! i to ma być ruch narodowo-polski?

— Przyznaję, że w ogólnym nastroju były pewne przykre dysonanse, że ogół nasz stracił wiele czystych porywów patryotycznych, ale w każdym razie ten ruch jest wolnościowym.

— Ładna mi wolność, jak komornego nie chcą płacić. Przyjdzie wędrować o kijku żebraczym. A te strejki! Słyszałaś? Może nie słyszałaś? Mają miesiąc próżniaczyć.

— A z czem pójdą przeciwko rządowi? z gołą ręką?

— Nie, moja droga! nie wytłumaczysz mi. Cały ten ruch nie ma narodowego charakteru. To dobre dla żydów, dla Moskali, ale nie dla nas, wychowanych w polskich tradycjach. Ludzie, miłujący swój kraj, nie mogą takiego ruchu poprzeć.

Halka już nie może spokojnie słuchać. Wybucha:

— Ciociu, jakie to były dawne tradycje polskie? na prawdzie, czy na obłudzie oparte? Czy prawda, któ-

ra nie jest polską, przestaje być nią? Czy Chrystus, którego ciocia czci, był polskim narodowcem? czy był wogóle jakimkolwiek narodowcem?

Ale i cioci Pęśławskiej biją ponse na twarz.

— Wiem, że twoja matka była zawsze obojętna na sprawy naszej ojczyzny. Francuzki, angielski, a nigdy narodowego wychowania. Niedaleko też padło jabłko od jabłoni.

Burzliwa wymiana zdań. Wreszcie Halka idzie do swego pokoju. Jest zdenerwowana. Przykłada ręce do policzków. Jak pała! Przedewszystkiem podnosi stopy w oknach i gasi lampę. Wlewa się mętne światło z ulicy, z ukochanej ulicy. Nie zdejmując sukni, kładzie się na łóżku. Przymyka znużone powieki i marzy.

Idą tłumy, ale jakieś inne, posępne, złowrogie. Nie widać strojów dam, ani uśmiechniętych młodzieńców. Same bluzy odarte, poszarpane, ciapy na nogach, gołe pizszcele urągliwie patrzą. Idą przez ulicę, jak czarny bór. Z ich rozchełstanych piersi zrywa się pieśń, pieśń jak grzmot, pieśń gniewu i zemsty.

„Nasz sztandar jest czerwony . . .“

Nagle pieśń cichnie, bór staje, jeszcze się tylko kołysze w szumie lekkiego wichru, a już słyhać ponad nim, jak donośny dźwięk wieczornego dzwonu, czyjs głos.

Czyż to był głos?

I Halka się budzi.

X.

Doktor siedzi, oparty o biurko, Długie palce zapuszcza w bujne kędziory włosów. Na chwilę zatapia

się w głębokiej zadumie. Poczem znów podejmuje przerwana rozmowę. Mówi głosem cichym, matowym, spoglądając na czubki swych palców.

— Bo widzi pani bez zbrojnego poparcia nie może być mowy o masowej agitacyi. Każde zebranie rozpędzą, każdego z nas wysłedzą i wywiozą. Cóż pocnie bezbronny lud przeciw bagnetom i kulom? Trzeba ich wprzód postrachem zdemoralizować i zniepawić. Dlatego dzisiaj przedewszystkiem terror. Z każdym udanym zamachem zyskujemy podwójnie, bo jednocześnie blednie w wyobraźni ludu siła rządowego ustroju. Cóż oni są, że się ich prawie bezkarnie tępi po ulicach? cóż oni są, że nogi i ręce najwyższych dostojników bomba roznosi po dachach? My musimy lud zaprawić do walki, oswoić z krwią i śmiercią.

Doktor spogląda Halce prosto w rozszerzone źrenice.

— Patrzyła pani kiedy własnymi oczyma, jak katanowano na śmierć? słyszała pani beznadziejne jęki tych, którzy pierwsi odważyli się podnieść ręce, spragnione wolności? Krew woła o pomstę.

— A jednak krew za krew, to taka straszna rzecz, to chyba zbrodnia. Jaby nie umiała nigdy.

— O, pani!

— Wiem napewno. Nieraz myślałam nad krzywdą naszego narodu. W uniesieniu, w zapale być może, ale tak na zimno.

— Na zimno—nie! Ale uniesienie nie zawsze jest chwilowem, może się ono stać ogniem wiecznie trwającym.

— A doktor?

— Ja zawsze ten sam.

Halka patrzy na jego ogromną, obrosłą twarz z istotnym podziwem. Słucha matowego głosu, jak ten głos cichnie i przechodzi w szept w tych właśnie słowach, w których zrywa się krzyk serca. Ten głos magnetyzuje ją. A może to nie głos, może to te słodkie oczy dziecka i to ledwie dostrzegalne drżenie warg. Może to te upojne słowa, które przenoszą jej myśli lekliwe w jakiś straszliwy oddech.

— Wspomniała pani o krzywdzie naszego narodu. Tak! krzywda naszego narodu jako organizmu państwowego jest bezdenna, ale jakimi słowy pani wypowie krzywdę naszego ludu? jakimi słowy pani napiętnuje tę wielowiekową ciemnotę, nędzę i upodlenie? Nędzal jak lekko się to mówi, a widziała pani kiedy głód? Ja, lekarz, wiem, ja znam wytrawiający proces organizmu, powolną śmierć na stosie. Ja wiem, jak ginie komórka za komórką, jak się zmniejsza zawartość żył, jak wyczerpane myśli idą obłądną drogą. Znajdzie pani nazwę po za krwią serca na tych, którzy jeszcze nadal chcą zachować swe przemożne wpływy, choćby za cenę miliona zgłodniałych.

Doktor spogląda z uśmiechem.

— Pani boi się wyzwolenia ciemnych instynktów? dnia pomsty? Niech przyjdzie! Cóż, że stanie w ogniu trochę tych cegieł, które pałacami nazywają? cóż, że się trochę krwi poleje? czyż dzisiaj ona nie płynie? A może ogień strawi rdzę naszego życia.

— Ja się nie boję przewrotów społecznych. Mogą zabrać nasz majątek. Jeszcze mi starczy sił do pracy.

Lecz dziwnym, niezrozumiałym wydaje mi się wasz upragniony układ. Dążycie do upaństwowienia ziemi, fabryk, kamienic w miastach. Czy pomyśleliście o tem, że słabszemu wiatr w oczy wieje? Nasz naród jest najsłabszym. Czy upaństwowienie nie zrobi zeń proletaryatu wśród innych możniejszych narodów? Czy to nie będzie się nas, Polaków, przeganiało precz z naszej ziemi? Bo przecież ziemia będzie własnością państwa, a rządem państwa nie będziemy — my.

— Czemu nie my? — pyta się doktor.

— Bo ze zmianą własności nie zmieni się natura człowieka. Czy burżuj, czy proletaryusz, każdy będzie dążył do władzy nad innymi. Dziś nas broni uświęcone tradycją prawo własności. Utrudniają nam nabywanie ziemi, wykupują nas, demoralizują, ale strach przed wpływem masowego wywłaszczenia tamuje zapędy tych, którzy są u steru władzy. Nie będzie potem zapory żadnej, by nie usuwać nas z ziemi i wprowadzać obcych przybyszów. Jeżeli wy walczyście o dobro ludu polskiego, czy aby nie jesteście narzędziem innych ludów?

— My stoimy na straży ludzkości. Bliższy jest nam lud polski, aniżeli inny, lecz nie możemy dla jego przemijających interesów poświęcać ogólnego rozwoju. Człowiek dąży do ideału. Jego postępek w materyalnym układzie sił — to droga, skąpiana we krwi, — to pochodnia pożarów całego świata. Jego postępek duchowy — to jedna wielka męczarnia tęsknoty za Niepoznanem. Człowiek się rodzi w bólach matki własnej. Nie może być wolnym od męki, kto się w życiu chce rodzić wciąż innym, bliższym swego absolutu. Choćby nasz naród miał

przejsć przez ogień ofiarny stokroć większy, niż całe jego dotychczasowe męczeństwo, choćby lud polski rozegnał po wszystkich krańcach świata, wyjdziemy z tego ognia lepsi, czystiejsi, bliżsi swego człowieczeństwa. Musi się spełnić, co ma być spełnione.

— Więc nie o szczęście walczycie?

— Szczęściem? — zachichotał doktor. Co pani rozumie pod tem słowem? Szczęściem i dumą człowieka est — żyć i umierać człowiekiem.

— Ale to osobiste, radosne, to rozsadzające piersi szczęście? Myślałam, że wiosna ludów, to wiosna wszystkich serc. Myślałam, że wy walczycie o szczęście, które każe cieszyć się życiem i błogosławić je w każdej godzinie dnia, że, jeżeli krew potrzebna, to jedynie narazie dla zmycia win, ale że narodzić się człowiekiem — to narodzić się w słońcu.

Doktor nachylił się nad biurkiem. Twarz swą ukrył w dłoniach.

— Niema takiego szczęścia na ziemi — wyszeptał.

Zaległo długie milczenie. Halka pojęła, że nagle przyszło wspomnienie nie zagojonych przeżyć i szarpnęło bolącą ranę do dna. Czekwała w skupieniu na dalsze słowa.

Doktor mówił jakby do siebie:

— Czemu tak często łączymy swe szczęście z tem przedziwnem uczuciem, które nazywamy miłością? czemu żadna z tęsknot nie jest silniejsza, niż wówczas, gdy dni, niby wieki, mijają od ostatniego widzenia? O nie! nie o widzenie chodzi tu jedynie, nie o zaspokojenie pragnień wzroku. Kto wie, czy nie lepiej mieć oczy wydar-

te, ośleple na blask wszystkiego życia wokół, nie widzieć świata, ni ludzi, żyć w mrokach, nie kończących się nigdy, ale czuć obecność, słyszeć słowa, owe tajemne znaki duszy. Czemu to ludzie w swej wędrówce po świecie napotykają na ślady szczęścia zapóźno?

— W urojeniach wszyscy żyjemy—odpowiada Halka. Własna dusza tworzy nam świat szczęścia lub smutku. Czemu byłoby zapóźno, gdy człowiek jeszcze jest zdolny do ogromu uczucia?

Halka mówi wbrew swemu przekonaniu. I po jej duszy błąka się zrozumienie snów, przepadłych na zawsze.

— Życie ma swoje twarde prawa—mówi doktor. Choć pragnienie nie zna wymiarów, ale rozum ludzki musi stawiać kopce graniczne.

— Czy aby rozum jest dobrym kierownikiem tych spraw?

— Rozum jest okrutnym kierownikiem, ale on chroni od tego, aby w zmaganiu się dwóch dusz, jedna z nich nie okryła się śmiesznością zbytniego zarozumienia o sobie.

— Choćby za cenę złamania własnego szczęścia?—pyta się Halka.

— Choćby za cenę własnego szczęścia—odpowiada doktor, a oczy jego stają się zimne, jak lód.

— A jeśli się łamie nie tylko własne?

— Nie wiem i nie chcę wiedzieć. Ona ma już swój dom, męża, dzieci. Jest zapewne szczęśliwa—mówił z rozmyślną niedbałością, jak gdyby te tam uczucia dawno pogasły w pamięci.

— Ja nie wyobrażam sobie miłości, jako zmagania się dwojga ludzi—odpowiada Halka. Skrzydła jej niosą żywiłowo ku sobie. Otwiera się głąb duszy nieświadomie, w zaufaniu, że zrozumiana będzie. Wybiegają na usta słowa wyznań, jak ptaki z gniazda, gdy słońce wejdzie, śpiewają sobie hymn, radują się sobie, witają się dawni, dobrzy znajomi. Musiała dawniej gdzieś żyć, stara, odwieczna baśń ludzkiego szczęścia, a wyszła teraz nagle z ukrycia. Po co słowa oświadczyn? Łączą się ręce, mówiąc do siebie w tej wielkiej chwili: idziemy razem!

— Lecz miłość nie budzi się, jak ptak z gniazda. Miłość się tworzy, jak najcudniejsze arcydzieło ludzkiej duszy. Powoli, stopniowo, dzień za dniem, tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem nagromadza się tworzywo myśli i uczuć. Człowiek nieświadomie buduje zeń gmach, lecz ten materiał jest jak nurt spienionej rzeki, jak ogień, buchający z pożaru ducha. To nie cegła do cegły, wciąż wzwyż i wzwyż, lecz są wahania, odpływy, są stłumione porywy, przygasłe ogniska. Jedynie miłość zmysłowa ogarnia jak szal, niesie jak huragan, aż się wyszumi, wyhuczy, wypali i—zgaśnie. Miłość prawdziwa idzie lekliwie w ciemnym borze zagadnień. Pyta się drzew o drogę, kładzie się u ich konarów na ciemną noc. Szumi nad głową miłosna pieśń lasu. Budzą się marzenia, kołyszają sny. I znowu nowa fala tej rzeki spienionej, tych ogni wiecznie żywych, choć na razie przygasłych. Zrywa się wędrowiec samotny, by znów budować swój gmach.

— Czy nie tą samą drogą idzie ten drugi wędrowiec?

— Nie zawsze tą samą drogą. Jeden wybiega wprzód. Już się nagromadziły zwały uczuć, niby góry niebotyczne. Już niema wahań, zwątpień o sobie samym. Jedno olbrzymie morze łśni w słońcu własnych uniesień. Jedno bezgraniczne pragnienie rozsadza piersi stęsknione. A ten drugi, ten drugi wędrowiec dopiero otwiera oczy zdziwione i pyta się: co mi jest? Przechodzą niejasne uczucia, splatają się uroki chwil nikłych w pajęczą tkaninę przeczuć. Drży serce z niewiadomego lęku. Oczy boją się spojrzeć. Wokoło przedziwne światło upojenia. Czyby to miłość była?

W duszy Halki budzi się nagle dźwięk. W uszach szumi wspomnienie. Wszystko to już gdzieś było, wszystko to serce przeżywało. Czy w życiu? czy w snach? czy w muzyce?

Doktor mówi:

— Na takie chwile uniesień trafia zbłąkany wędrowiec. Wydaje mu się, że na szerokim świecie stał się upragniony cud. Nie może mówić z nagłego wzruszenia, nie może wyjawiać tajni swych uczuć. Cały świat przepełniony jest drzeniem radości, w piersiach urasta potęga. Cóżby mówić? Każde słowo powinno być czemś wielkiem i niepojętem, jak wielkiem i niepojętem jest odkrycie tajemnicy w sercu, dawno ukochanem. Mijają chwile w milczeniu; jedna za drugą zanika, zapada się w otchłań niewiadomego. Dopiero potem przychodzi uświadomienie prawd życia, żal, że się nie mówiło.

— Czy raz się ludzie spotykają?

— Chwile spotkań są tak rzadkie. Bo cóż znaczy chwila salonowej rozmowy? Czyż może człowiek, którego pierś przepelnia pożar, mówić wobec innych, co czuje jego serce? Ucieka się, unika się spotkań, które stają się męką, a każda z tych ucieczek jest grudą ziemi, walącą się na trumnę szczęścia. Lecz życie, jak fala, buja ludźmi to tu, to tam. Więc swobodnie spotyka się znowu tych dwoje. W piersiach samotnego wędrowca wezbrało tyle, tyle pragnień, taki olbrzymi świat przeleciał przez duszę, tak jeszcze wyrósł, uniesiony wichrem nadziei. Przecież on widział w tamtych oczach blask, przecież słyszał słowa, od których serce zamierało mu ze szczęścia. Więc czekał na tę chwilę spotkania, jak człowiek umierający z pragnienia—na źródło, bijące w pustyni, a spotkał wówczas oczy zimne, obojętne, oczy zdziwione, serce zavalone lodem. To właśnie odpłynęła tamta chwila upojen, to chmury zwątpień o uczuciu przeżywanem okryły tamtą duszę. Już się nie pełni cud.

— Powinien był wówczas samotny wędrowiec słowami własnych uniesień rozdmuchać tamto przygasłe ognisko. Kto wybiegł naprzód, niechaj oświeca pochodnią drogi przez siebie już przebyte pośród tych wahań, zwątpień i odpływów.

— Nie wydostaną się słowa z serca, które nagle zawalił kamień dławiącej rozpacz. Nie rozdmucha ogniska ten, kto sam się słania od ciosu poznanej prawdy. Powie sobie w ów dzień, że stracił wszystko niepowrotnie, że przeminęły sny, bo snem i ułudą było chwilowe wyróżnienie go z pośród innych. Tem bardziej nieczyszczalnym wydaje się snem, gdy za jednym z tych dwojga

ludzi pozostało pasmo długich, długich lat, a to drugie serce jest jeszcze młode i czeka na nie świat uśmiechnięty. Nie równe dla obojga są widoki życia. Potrzebaby ogromnej zarozumiałości, by uwierzyć, że człowiek starszy da sobą szczęście osobie młodej.

— Cóż znowu? Przecież doktor jeszcze dziś jest pełen młodzieńczych sił.

— W pragnieniach, uniesieniach,—być może, lecz starsze oczy inaczej patrzą na świat i ludzi. Młodym milej iść z młodymi. Biegnać razem przez łąkę, ciesząc się każdym nieznanym kwiatem, zbierają je pełnymi garściami w mniemaniu, że napotykają takie właśnie, jakich pragnęły ich serca. W tajemnicy nieznanych praw życia tkwi urok ich szczęścia. My starzy płoszylibyśmy sny młodości, nie potrafiąc żyć w ułudach. Dla nas pozostaje—zamknięcie marzeń w sobie, niby promienia w kryształowym kloszu.

— Czy jednak doświadczenie w życiu nie jest jedynym urokiem więcej? Pije się wówczas szczęście kropla po kropli z radosną świadomością.

— Nie wiem. Nie spłynęła z tego szczęścia ani kropla do moich ust.

Halka załamała dłonie. Ni to o sobie, ni o doktorze myśląc, zaczęła mówić gorączkowo:

— Niema myśli boleśniejszej nad zdawanie sobie sprawy z tego, że się ominęło bezpowrotnie najbujniejszy odłam swego życia, że się zerwało, czy podeptało kwiat, niedostrzeżony na drodze. Szczęście się buja, jak motyl w słońcu! Trzeba je chwycić, skoro tylko się zjawi.

— Szczęście się buja, jak motyl w słońcu—począł

szeptać doktor. Czy ja wiem, czy ja wiem, czy to szczęście było do uchwycenia, czy nie uleciałoby w błękity, czy nie rozwiałyby się, jak sen.

Tak oni rozmawiali, gdy na ulicy huczał lud, upojony zwycięstwem rewolucyi. Doktor, dusza tego ruchu, odbiegł zniecka w najtajniejsze głębie, gdzie inny rodzi się świat, gdzie człowiek w rzadkich chwilach słabości staje się sobą.

XI.

O towarzyszu Ablu miewała Halka wiadomości skąpe. Nigdy to imię nie pobyło na jej ustach. Dowiadywała się pobocznie, okolicznościowo. Nikt nigdy nie wiedział, że to jej dawny znajomy, ogrodnicyk z Wyrw. Żył w niej to wspomnienie, jak głębokie uczucie. Przechowywała je bez nazwy na dnie duszy.

Pragnęła Stefana widzieć. Nad wszystko na świecie pragnęła mu powiedzieć, że jest teraz inna, nie taka jeszcze, jak on, ale mu bliższa światem pojęć, niż dawniej. Chciała mu wyznać, że to on, Stefan Żuczek, zbudził ją ze snu, chciała mu powierzyć wszystkie, wszystkie swoje rozmowy z doktorem, wszystkie wahania, które miotają jej duszą od wielu miesięcy.

Raz dowiedziała się, że towarzysz Abel jest w Warszawie. Radość i ból targały jej sercem. Nie chciała nikogo pytać, gdzie on jest, gdzie się można z nim widzieć. Ale za to dni całe biegała po mieście, szukając wśród tłumów znajomej twarzy Stefana. Nadaremnie! Była parę razy u doktora. Doktor miał na myśli inne, ważniejsze

sprawy. Śniła po nocach, że on, Zuczek, dowie się o niej i że do niej przyjdzie. Śniła napróżno. Towarzysz Abel nie wiedział i nigdy nie miał się dowiedzieć, że jego szalone uniesienia wzbudziły coś więcej nad podziw, coś więcej nad przewrót zapatrywań na życie i ludzi.

Minęły te dni we wzburzeniu serca, w rwącym pragnieniu widzenia, minęły niepowrotnie. Wkrótce doszła ją wieść, że Abel jest znów na robocie. To była zwykła jego sprawa. Najśmielsi towarzysze nie mogli wyjść ze zdumienia nad jego odwagą i szalonym szczęściem. Mówili kiedyś przy niej, jak niezmiernie zmienił się Abel w roku ostatnim. Dawniej szedł na wyprawę wesół, radosny, że przemocą będzie zwalczał przemoc. Teraz uśmiech nie postoji na jego ustach. Idzie zawsze posępny, ale stokroć jeszcze odważniejszy. Uraża śmierci, wyzywa ją umyślnie. Zarzucano mu, że niepotrzebnie naraża swe życie. Odpowiadał na to czynami jeszcze zuchwalszymi. Zdawało się nieraz, że umyślnie szuka śmierci, lecz ta ustępuje mu z drogi. Kiedyś jeden z towarzyszy rzucił bombę, ale nie wybuchła. Żołnierze, żandarmi rozlecieli się na boki. Stefan, który patrzył spokojnie, podszedł, podniósł ją z ziemi i roztrzaskał między sobą i żołnierzami. Z pośród wyrwanych kamieni bruku, lecących odłamów żelaza, z pośród dymu trzasku szyb po domach, z pośród jęku ranionych wyszedł nietknięty.

Halka słuchała opowieści z zamarłym sercem. Ona jedna wiedziała, czemu Stefan szuka śmierci. Podczas długich nocy, spędzanych bezsennie, przesyłała mu w du-

azy wiadomość, że nie jest tak samotny, jak mu się wydaje, że nie jest tak bardzo, bardzo opuszczony.

Drżała na myśl, że będzie zabity, nim mu to wszystko wypowie. Widziała go nieraz w snach na jawie, że go biorą, że go wloką, że go katuja zbiry carscy. Zrywał się gniew, wołający do Boga, zaciskały się dłonie w niemej rozpaczy.

Od doktora czasami dowiadywała się szczegółów, dotyczących Stefana. Ale były to szczegóły ubogie, bo nigdy nie pytała wprost. Do doktora chodziła często. Choć już nigdy nie dotykali swych spraw osobistych, mieli od owego dnia ich świadomość, jak skąpiec, który w pieczarach podziemnych dojrzał skarby zakłete i strzeżone tajemnie.

Z doktorem wiodła spory o społeczne sprawy. Budziło się w niej nowe życie, wciąż inne i wciąż nowe. Zawałały się stare pokłady uczuć i myśli pod świeżą warstwą życiodajnej ziemi. Wykwitały pędy, jak u roślin egzotycznych. Wschodziło słońce nieznane dotąd. Budował się gmach, choć o oknach i drzwiach jeszcze pustych. A nad wszystkim unosiła się bujna, upajająca atmosfera wrażeń.

Nagle przychodziły chwile, że cały ten gmach nowych skojarzeń myśli walił się w przepaść dawnych pojęć, że serce otaczał chłód nocy i mrok niepewności. Trzeba było budować odnowa, powoli, stopniowo ugruntowywać zasady. Nie chciało się serce przejąć do głębi, nie mógł rozum pogodzić się z tem, co widziały oczy. Przyszły bowiem po dniach zwycięstwa — dni klęski. Wzmogła się reakcja, a z nią najstraszniejsze

środki odwetu. Krwawiła się Warszawa ofiarami ruchu, jęczały podziemia pełnych więzień, pracowały na ulicach żołnierskie kolby. Wielu towarzyszków, jej najlepszych znajomych, było ujętych, wielu pochowało się i rozpierchło po głuchej prowincyi. Doktor pozostał, pracował za innych, których zbrakło, łączył, organizował, utrzymywał, jak mógł, ciągłość pracy, a między jedną sprawą a drugą, biegał od chorych do chorych po ciasnym, brudnym norach, po piwnicznych mieszkaniach, gdzie tylko łągł się głodowy szkorbut, gdzie czaiła się ospa, cholera, gdzie na każdym kroku czyhała śmierć. Chodził tam obładowany lekarstwami, winem, nieraz z kieszeni wystawała butelczyna mleka.

Halka niezmiernie lubiła chodzić z doktorem na „wyprawy”, jak je sami nazywali. Do niewielkich środków, którymi doktor rozporządzał, dołączała swe własne oszczędności. Z początku doktor zżymał się, mówił, że to jego rzecz nosić chorym lekarstwa, lecz w końcu ustępował, bo przecież i tak nie starczało, bo nędza spotykana była większa, stokroć większa, aniżeli środki ich obojga, aniżeli ich dobre chęci, większa, niż ich marzenia o ulżeniu niedoli. Nędza była niezglębiona. Czuli to oboje wyraźnie. Był to czas, kiedy bezrobocia dobrowolne i przymusowe, lokauty, walki polityczne, rozpalane płomieniami nadziei, wyrzucały z równowagi tysiące robotniczych rodzin. Ludzie żyli z dnia na dzień, zastawiali ostatnie poduszki w przekonaniu, że jutro koniec ich nędzy, że jutro stanie się dzień inny, w którym bez pracy każdy człowiek zdobędzie wszystko upragnione, że skończy się barłóg i głód, że pałace otworzą się dla

najbiedniejszych, że nowy urząd dostarczy obficie jedzenia, i picia, i obuwia, i odzieży i wszelakiego dobra. Rewolucya odkrywała w swem magicznem słowie samo dno niezgłębionych pragnień, nieugaszonych pożądań, nieokiełznanych wybuchów żalu, gniewu, nienawiści i nadziei. Otwierała się dusza, spychana przez wieki ze szczębli, po których jedynie jednostki pięły się ku górze gdzie świeciła gwiazda przepychu. W świetle tej gwiazdy rozblyszczonych tysiące rąk chwyciło za szczębli, tysiące oczów wycęzało swój wzrok ku dali niedościgłej.

Nie było bronii, by siłą złamać ustalony porządek rzeczy. Stały na jego straży bagnety. Więc ludziom przywidziało się, że zwyciężą głodówką, że skoro nędza dojdzie do ostatecznych granic, musi się stać coś, co się jeszcze nigdy nie działo, musi się stać — cud. Jakże podobną bywa ta skołatana dusza ludu do duszy człowieka, który zwątpił o sobie i gotów własnymi rękoma pchać siebie na dno, byle głębiej, byle raz był koniec.

W przeciwieństwie do czasów minionych znoszono nędzę cierpliwie, nawet ochoczo, choć z gorączką w oczach i na ustach spieczonych. Ale choroby i śmierć szły mimo to nieubłagane, jedna po drugiej, krok za krokiem. Kieszenie doktora opróżniały się prędko; z paczek, przynoszonych przez Halkę, pozostawał wkrótce biały papier odwinięty, a tu jeszcze tyle nor, tyle rodzin niezaspokojonych! Spoglądali na siebie bezradnie, z rozpaczą w sercach.

Żyła w suterynach rodzina biedna. Schodziło się po schodach w dół, jak do piwnicy. Malutkie okno wkleśało w ziemię poniżej ulicznego bruku. Tędy to z pomocą

obmurowania, czegoś w rodzaju małej studzienki, wlewało się światło szarym tonem do wnętrza izby, lecz nie sięgało daleko, bo niemal cała izba stała wiecznie w nieprzeniknionym mroku. Gdy Halka weszła tu z doktorem po raz pierwszy, nie mogła wytrzymać z przeraźliwego smrodu i dusznej wilgoci, która ociekała po ścianach. Kobieta zawiędła, mająca może lat czterdzieści, stała pod oknem przy balii i prała bieliznę. Było to narazie dla całej rodziny jedyne źródło zarobku. Więc dni całe unosiła się para i zaduch z brudów, leżących w wodzie.

Skoro się oczy przyzwyczyły do ciemności, Halka ujrzała barłóg. Na startej, czarnej od brudu słomie siedział jakiś nędzarz i żuł kawałek chleba. Siedział w koszuli i pochlastanych portkach.

— Kto to?—pytała się Halka.

— Mój—odpowiedziała kobiecina. On tak zawdy.

Doktor objaśnił, że mąż jej jest częściowo sparaliżowany, najzupełniej niezdolny do pracy. Dalsza rodzina składa się z czworga dzieci, z których najstarsza dziesięcioletnia córeczka lata po mieście po bieliznę do prania, pozostałe wążsają się bez opieki po podwórzu i ulicy. Matka sama jedna musi zarobić na nich sześcioro. Litościwi ludzie pomagają, lecz to nie wystarcza.

— Pókim zdrowa, to jeszcze ujdzie—mawiała baba. Nie daj Boże, żebym się musiała położyć. Któżby ta je wyżywił?

Doktor wprawdzie utrzymywał, że powinna była dawno leżeć, bo nogi puchły, jak konwie, a nawet cały brzuch był nalany wodnistą cieczą. Lecz ona nie chciała słyszeć o tem.

— Póki stoję, to stoję, a jak się położę, to już chyba nie wstanę — odpowiadała na namowy doktora. Miarkuje z tego, że od rana trudniej mi się ruchać, jakby mnie coś ścisło, a w dzień, jak się rozchodzę, lepiej bywa.

Doktor przynosił lekarstwa, mleko dzieciom, czasami wsunął parę złotych na najniezbędniejsze potrzeby. Halka od pierwszego razu zainteresowała się żywiej tą rodziną. Szczególnie najmłodsza córeczka wydała się jej przedziwnie miłą. Było to czteroletnie dziecię ze złotą główką i jasnemi oczkami. Długie kędziory spuszczały się nad uszami wzdłuż twarzyczki. Usta maleńkie, różowe. Gdy Halka brała ją na rękę, śmiała się z radości i pokazywała ząbki. Poczynała opowiadać wszystkie ich biedy i cierpienia, jak coś powszedniego i przynależnego życia człowieka, a to, jak tatuś skarżył się, że głodny, a nie było, dać mu co jeść, a to, jak mama cicho pojękuje, gdy państwo wyjdą, a ona musi ciągle stać nad balią, a to jak braciszka brzuszek bolał całą noc. Była stałą, wesołą szczebioczącą kroniką ich najdotkliwszych bólów. Od niej się Halka dowiadywała, czego rodzinie najbardziej potrzeba, przez nią otrzymywała bodźce do największych wysiłków, byle nędzy ulżyć.

Dziecinie było na imię Maryś.

Maryś była niezmiernie zręczna. Z kawałków tkanin ugniatała coś na podobieństwo lalki i przystrajała w suknie. Marzyła o prawdziwej lalce, którą widywała za sklepową szybą. Śniła o niej, jako o czemś nie z tego świata. Te sny i marzenia były jedynym promieniem, padającym z duszy dziecka w atmosferę brudu i poziomych wysiłków, jak kiedy przez szczelinę pękniętej ściany pada promień słońca do ciemnych piwnic.

Pewnego dnia Halka kupiła dużą, prawdziwą lalkę. Miała oczy, zamykające się do snu, włosy, jak len, ręce i nogi zginające się, na nogach maleńkie, skórzane buciki, sukienkę ze wstążkami. Doktor marudził, że możnaby za te pieniądze nabyć tyle a tyle gramów tłuszczu lub białka, tyle a tyle funtów węgla lub wreszcie kupić coś ciepłego do ubrania, lecz gdy ujrzał szaloną radość dziecka, jak ono małemi rączynami poczęło tulić lalkę do swej wychudłej piersi, jak usta lalczyne i oczy obsypywało najtkliwszymi pocałunkami, nie mógł pohamować wzruszenia. Odwrócił się szybko i nieznacznie czubkiem palca starł łzę. Halka zrozumiała w tej krótkiej chwili, jaka to jedna więcej tęsknota żyje w jego sercu.

Doktor nie rozporządzał dużymi środkami. Jako człowiek zdolny miał bogatą klientelę, lecz leczył ją niechętnie. Opuszczał często godziny przyjęć, a biegał w sprawach partyi lub odwiedzał biedotę. Mawiał, że bogaci mają na każde zawołanie stu lekarzy, lepszych od niego. Co zresztą znaczyłyby choć największe wpływy wobec morza nędzy? To też najcięższą jego troską było zdobycie środków materialnych. Halka często widywała doktora w naradach z lichwiarzami, słyszała wiecznie te same rozmowy o wekslach, prolongatach, procentach. Nie rozumiała całej doniosłości trudnego położenia, w jakim się doktor znajdował, lecz w pewnej mierze zdawała sobie sprawę. To też podwójnie starała się zaoszczędzić ze swych osobistych przyjemności, rozumując, że każdy zasilek dany przez nią, jest ulgą dla doktora.

Wyprawy te polubili oboje coraz więcej. Doktor wtajemniczał ją w życie ludzkie. Opowiadał o każ-

dej rodzinie, jak o kimś niezmiernie blizkim. Odślaniał przed nią nędzę i ciemnotę, zepsucie—córkę nędzy i ciemnoty, najstraszniejsze warunki bytu, jak obrazy z piekła; z doktorską pasyą malował choroby, niszczące ciało i duszę, ich przebieg, przyczyny i skutki. Halka z nim razem zstępowała w otchłań. Poznawała razem z nim koło żywota, które tam u spodu bytu wrzało głucho, obracało żarna, ścierające ludzi na proch, podczas gdy tuż obok możni tego świata żyli w przepychu. Przed dom, w którym maleńka Maryś żyła ze swą rodziną w ciemnicy i oślizgłej wilgoci, zajeżdżały karety, ciągnięte przez strojne konie, zsiadali z kozła karet lokaje w liberyach, a z wnętrza wychylały się głowy pań w brylantach o bezcennej wartości. W tych samych domach, do których zaglądała śmierć głodowa, o piętro wyżej hulano i przegrywano majątki.

Doktor nie omijał sposobności, by podkreślić i uwydatnić niczem nieusprawiedliwione różnice stanów; w słowach, pełnych uniesień, przedstawiał krzywdy, wykazywał konieczność dnia, który się pomści za to wszystko. To też chwile w ten sposób przeżyte, przeinaczały myśl i uczucia Halki. Czuła się inną, pełniejszą zrozumienia. Poczęła poznawać, czem są te wszystkie środki dorywcze, którymi oni we dwoje łagodzili poszczególne objawy niedoli. Choćby wielu, bardzo wielu było takich ludzi, jak oni, cóż to znaczy? Nędza panoszy się, roztacza coraz szersze kręgi, wnika coraz więcej w głąb'. Poczęła zgadzać się z doktorem, że dobroczynność jest potrzebą serca, ale nie środkiem zasadniczym. Muszą nadejść olbrzymie przewroty w układzie społecznym, by ustąpiło zło. Musi się

zmienić dusza ludzka do gruntu. Ale jakie przewroty są pożądane? jakie wiodą do nich drogi? Nie mogła przytakiwać wszystkim poglądom doktora. Uspołecznienie środków produkcyi wydawało się jej mrzonką, tak jeszcze daleką i obcą współczesnej duszy człowieka. Dawała za przykład Rosyę, gdzie po wiekach wspólnoty gminnej budzi się coraz silniej chęć indywidualnego władania ziemią. Rozwój ludzkości idzie w kierunku wyodrębnienia duszy w całość wielką, w sobie zamkniętą, i dlatego nie mogą zanikać zewnętrzne formy tej odrębności. Na to doktor odpowiadał, że dusza człowieka jest jak kropla w oceanie. Sama w sobie jest piękną, gdy światło słońca łamie się w niej tęczą, lecz oceanem nie będzie żadna, choćby największa liczba kropel, póki się nie zleją w jedną olbrzymią masę wód, gdzie giną granice poszczególnych istnień. Pytał się nieraz, czy widziała ocean? czy zna jego potęgę? zachody i wschody słońca? wspinywanie się fal ku chmurom? loty wichrów po przestrzeniach, nieobjętych wzrokiem? Taką jest właśnie dusza społeczna — jedna w całej ludzkości. Ku niej my dążymy.

Halka uznawała tylko indywidualną duszę człowieka i duszę narodu. Jakże cudnie wypowiadała się w języku polskim bezkreślna tęsknota za światem niedościgniętych marzeń, gdzie gubią się ziemskie oczy, gdzie jedynie króluje uczucie. Przez czerwone pasmo męczeńskich dni idzie ta świetlana droga, utkana z promieni dusz pojedynczych ludzi, dusz wielkich, samotnych, a skutych łańcuchem bytu na ojczyściej ziemi. Z mowy polskiej, z transcendentalnych jej dźwięków i znaczeń,

z piersi matek karmiących, z poszumu wichrów, które nigdzie tak nie wieją, jak u nas, z rozbłysków księżyca, który nigdzie tak nie świeci, z chmur, lecących po niebie stadem zórawi, z cieniów drzew, rozkwitłych w sadach, z zim białych i skwarów lata podnosi się, wzdyma, wzrasta w olbrzymie kształty dusza narodu. Stoi biała, jak posąg, wśród innych. Idzie razem po wiekiustych drogach rozwoju. Ani jej potrzebne uspołecznienie, ani zrównanie wszystkich i wszystkiego. Z nędzy, łez, cierpienia bierze nieraz większe siły, aniżeli z uśmiechów zadowolenia, że wokół ciepło, jasno i syto.

— A więc najwyższy arystokratyzm ducha? a więc miliony ludzi nawozem dla wybranych jednostek? — wołał doktor w oburzeniu. Niech zdychają z głodu, niech się rodzą przekłęci na ziemi, niech cuchną piwnice ściernem nawpół żywych ludzi, byle tych kilka dusz wybranych . . .

— Nie, nie, nie — wołała Halka. Jest prawo człowieka nie tylko do duchowego, lecz i materialnego dźwignia się. Istnieje w ludziach obowiązek.

Roztaczała przed doktorem obraz stopniowej ewolucji: zabezpieczenie pracy przez wielkie roboty publiczne, opieka w nieszczęściu, prawodawstwo ulepszone, a przedewszystkiem szeroka, gruntowna oświata, by podnieść ekonomiczne zasoby warstw pracujących fizycznie.

— Czy nam potrzebna walka klasowa? Dusza naszego narodu jest pełna braterstwa dla wszystkich.

— Widzieliśmy ją, tę wielką duszę wielkiego narodu w rugach włóścian, w kiju pańszczyźnianym, w lokautach fabrycznych . . .

— Bo dusza naszego narodu jest narazie zatruta obcą niewolą, jest skrepowana powrozami interesów nie swoich. Nie może się nigdy wyrazić pełnią czynów. Czemu to doktor nie wspomina o trzecim maju, owym bezkrwawym dniu?

— Gdy człowiek umiera, budzi się przebłysk sumienia, któreby chciało naglej poprawy całego życia, Czemu tak późno? Teraz kraj nasz dźwiga się z dawnej śmierci. Przybywają mu siły, a z siłami podnosi w nim łeb zwierzę — ukryte na dnie każdej siły. Potrzeba tę ludzką bestyę wziąć od razu w żelazne kluby i zagrozić drogę na zawsze. Potrzeba usunąć przyczynę zwierzęcości, tkwiącą w nierównym podziale dóbr ziemskich. Niech nie mają o co drapieżnymi pazurami bić się między sobą, spychać ze szczebli drabiny, wiodącej do nadużyć w przepychu. Niech zniknie raz na zawsze jęk morderwanego brata i głos zwycięzcy nad nim.

Ale Halka nie mogła zgodzić się z doktorem. Żyła w niej wiara w twórcze siły polskości, w świat lepszego jutra.

— Niech tylko danem nam będzie wyciągnąć szpadę wolności!

— Nie długo będzie ona błyszcząca w słońcu — odpowiadał doktor. Przyćmią blask jej dymem kadzideł, owiną w chusty skrwawione, przyobleką w kir i złożą do grobu. Będzie na Wawelu spoczywała w nawie pańiatek, opiewana przez polskie, twórcze natchnienie.

— Któż zgasi jej blask? Któż złoży do grobu, gdy cały naród . . .

— Kto taki? — chichotał doktor. Pierwsi pani rodzice, pani sąsiedzi i znajomi. Wszyscy, wśród których pani żyje. Rozdawnictwo dóbr i nędzy wezmą w swe ręce możni odrodzonej Polski. Z waszego kościoła wyjdzie duch ciemnoty, silniejszy, niż był kiedykolwiek. On każe maluczkiem być cichymi i kornymi, zdaleka patrzeć, jak się ściele uczta tego świata. Za upodlenie, za choroby, żrące ciało, za życie w piwnicach i wspólnych legowiskach, za dzieci, mrące z głodu na rękach matek, rozdawać będą nagrody w Niebiesiech.

Rozmowy doktora z Halką toczyły się w jego gabinecie, na ulicy, w zaułkach domów czarnych od brudu. Wiódł ją, jak towarzysz wytrawny, i pokazywał oblicze ziemi. Chodzili wciąż po mieszkaniach, w których żyło kątem po parę rodzin, stłoczonych na legowiskach nocnych, że smród ciał niechlujnych i skażonych oddechów zdawał się rozsadać szyby okien, zalepionych na wieczne czasy. Chodzili po domach, gdzie mieszkały dziewczki zarażone, wdeptane tam ciosem losu. Odwiedzali nory, gdzie się gnieździło żebractwo, jamy bandyckie, pełne wyziewów wódki i rozpasanych chuci. Ileż razy Halka widziała chłopięcą twarz, oczy, pełne niewinnego uśmiechu, nurzające się w tem powietrzu wyrafinowanej rozpusty i tajemniczych zbrodni. Mieli z nich wyrość przyszli nożowcy — kajdaniarze. A zaraz potem z tych ciemnych zaułków miasta szedł z nią doktor w ulice, gdzie spacerowały strojne panie, gdzie śmigały karety, brzęczały sanki, niesione końmi w srebrzystych siatkach, gdzie błękitne światła lamp w rozgwarze rozhukanego miasta unosły myśli ku marzeniom tęsknym, lekkim, rozwiewnym, bez troski o jutro.

Halka wracała do domu ze ściśniętym sercem, z chaosem myśli, które rozsadzały czaszkę. Ulubionym zwyczajem stawiała wpół rozebrana przy oknie, w świetle ulicznej latarni. Pokój zakrywała ciemność. Blask światła z ulicy padał na framugę i jej twarz, nieruchomą od głębokiej zadumy. Stała w nocnej ciszy. Tylko serce tłukło się w piersiach. Czuła, że odbywa jakąś drogę, lecz dokąd? gdzie niosły ją błyskawice przeczuć? jakim wichrem i z jakiej strony wzdymał się żagiel marzeń o wielkiem szczęściu całej ludzkości? Lecz czemu posępne skrzydło zakrywa światło na niebie szerokim? czemu z milczącej ulicy idą do jej duszy głosy, jak gniewny pomruk, jak głos zemsty, wyjącej na zgliszczach jej nadziei? czemu jej pierś rozsadza trwoga przed nieznanem władztwem sił, które się podnoszą z buntem, gniewem i ciężko dyszącą nienawiścią wszystkiego, co wyższe nad miarę ich głów? W uszach jej szumi okrzyk, niesiony północnym wichrem. Ma więc skonać wszystko, co długowieczna kultura wyniosła na szczyt piramidy ludzkości? ma znów ciemna masa nowych ludzi wznosić od samych fundamentów drabinę, po której piąć się będą i spychać wzajemnie pokolenia ludzi, jak to było zawsze? POCO to wszystko? poco ten obrót pierścienia, po którym wiecznie biegną te same fazy rozwoju?

Przypomniała sobie ten głos, który się niegdyś wyrwał z piersi zmarłego poety.

— Przekleństwo światu!

Szedł teraz z ulicy podobny bunt przeciwko wszystkiemu, co istnieje. Złały się w jedno nienasycone pragnienia duszy i głód uciech na uczcie świata — w tem jednym słowie:

— Przekleństwo światu!

Jakże odmiennym był doktor. Halka rozmyśla, po jakich on drogach doszedł do pogrzebania marzeń o własnym szczęściu? gdzie ukrył swe sny, jaką siłą przytłumił pragnienia, że się nie obudzą z pod żelaznych obręczy? Cała jego dusza oddana innym ludziom — nie sobie, wszystkie myśli zwrócone w przyszłość — lecz nie jego własną. Nad oceanem uczuć wzeszła świetlista zorza rezygnacyi, blask wieczności, skrzącej się przez mgłę zapomnienia.

Polski bunt! polskie przekleństwo wszystkiemu, co stoi na drodze do szczęścia. Czy to raczej nie siepiąca się bezmoc? Czy nie większym, stokroć większym tryumfem owdądnięcie sobą? czy nie wyżej na stopniach piramidy swego rozwoju stoją narody, które na własne cierpienia patrzą przez pogodne szkła dziejowych praw?

W Halczynej duszy wre podobna burza. Przewalają się uczucia, jak skłębione chmury. Czasami smutkiem zawleka się świat. Lecz częściej, częściej podnosi się wichler niepokoju i szarpie sercem. O co ten niepokój? jakie pragnienia gnają w przestwór nieba? o co żal? o życie, zmarnowane dotąd? a może żal za szczęściem, co padło, jak żagiew płonąca, i zgasło w ciemnościach nocy?

Mówił jej doktor niedawno, że człowiek rodzi się po to, by cierpieć. Nie do radości wiodą drogi życia. Jedynym szczęściem na ziemi — stać się człowiekiem, pełnić swój Zakon.

Zapomnieć o sobie!

Długi już czas Halka stoi w oknie i patrzy w opu-

stoszałą ulicę. Godzina za godziną mknie, a Halka nie czuje znużenia.

Jej się wydaje, że świat, to ona, że świat jest w niej zawarty. Jakże mogła wyrzec się swego świata i stać się kroplą, rozlaną w oceanie? jakże mogła uznać pochód innych ludzi za swój własny? jakże mogła zabić w sobie własną odrębność?

Nowe życie rozsadza jej skorupę, wylewa się z piersi wezbranej, jak nurt spienionej rzeki. Ku morzu ku oceanom mkną bystre fale wód, lecz kiedy z nagich skał rozhukana rzeka wpada w nieprzebrane tonie kołyszących się mórz, to jeszcze, daleko w głąb' płynie swym biegiem oddzielnym, otoczona zewsząd kryształową otchłanią, sama mętna od miałów piaskowych, które starła, szamocąc się pośród lądów. Bodaj to płynąć jak najdłużej samotnie, swoim własnym rozpędem, bodaj to dawać wszystko z siebie samej, wylewać wezbraną falę ze swej piersi.

Halka znała pragnienia doktora. Chciał zdobyć jej duszę, serce, myśl, wszystko, wszystko, co w niej było młodem, świeżem, silnem, wszystko, co w niej wrzało potęgą, budzącą się ze snu, chciał porwać dla swojej sprawy, przetopić, jak kruszce, na narzędzie swej partyi. Czuła, że nieraz ulega czarowi jego słów, że obrazy, wywoływane w jej wyobraźni, mają moc kuszącą, gdy roztaczał przed nią drogi wyzwolenia z dotychczasowego ustroju. Ale Halka nie miała w sobie instynktu stadnego, więc w długich dumaniach nocy otrząsała się z wpływu nowych pojęć, które na jej duszę spadały, jak liście jesienne na skorupę ziemi. Zwłaszcza, gdy dłuższy czas nie widzia-

ła doktora, rwała się jej myśl w inne strony. Jakże się czuła swobodną w swem rozpamiętywaniu życia. Oddawała się marzeniom o wyzwoleniu ducha ludzkiego z zależności od innych, o jego wzlotach niebotycznych, o połamaniu praw, które społeczność tworzy, jak żelazną obrożę dla każdego, kto wybiega naprzód, kto śni o innym szczęściu, niż to sobie jako ideał tworzy ogół ludzi.

Doktor miewał tęgą robotę, by po dłuższem niewiedzeniu wyplenić z niej „chwasty arystokratyzmu“, by ją znów nagiąć do pójscia jego drogami ku budowie nowego ładu na ziemi. Zmagały się ich dusze w walce o panowanie nad sobą. Halka chciała iść swoim torem, doktor ciągnął ją w wir, w którym jednostka, porwana rozpędowem kołem, przestaje być sobą, a służąc idei, służy przedewszystkiem innym, staje się kółkiem maszyny, prowadzonej przez partję. Jakże pragnął zaprzędz tę nową potęgę młodości, ten wielki jej rozmach. Ale Halka broniła się uparcie.

Ważyły się siły ich duchów. Urok dni konstytucyjnych przeminął dawno. Już nie oszałamiało Halki uniesienie tłumów, nie ponosił jej myśli radosny poszum sztandarów. Rewolucya ukazywała teraz jej oczom twarz, pełną zgrozy i ohydy. Plugawe instynkty powyłaziły, niby robactwo wstrętne. Więc doktor musiał poprzez zwąły zwątpień wykuwać w jej duszy wiarę w przyszłość, stworzyć wszystko od nowa.

Nieraz do białego rana, stojąc w framudze okna, Halka rozmyślała, czy pójdzie kiedykolwiek za głosem doktora. Nie wiedziała, ani on nie wiedział, że o drogach jej życia rozstrzygnie, jak to często bywa, niedaleki zbieg okoliczności.

XII.

Pewnego razu mówiła do doktora:

— POCO WY TO ROBICIE? Coraz więcej ofiar. POCO TYLE KRWI? I KTOŻ GINIE? Najdzielniejszy! Z ich pracy kraj zbierałby owoce, a tak, jeżeli dalej pójdzie, wyschnie po trochu drzewo waszego czynu.

Doktor, oparty na biurku, uśmiechał się łagodnie.

— Gdyby ktoś z pani znajomych nad wyraz drogi, został spoliczkowany, zapewne pierwszy żądałby rozmowy z bronią w ręku. Nie mówiłaby mu pani, by nie niósł życia w ofierze honorowi, bo kraj straci owoce jego pracy. Dałaby mu pani na drogę purpurowy kwiat, zerwany z bukietu u swych piersi. Gdyby zginął, nie byłoby we łzach pani żalu, że szedł na rozprawę, lecz, że zginął. A czem jest cześć narodu wobec honoru pojedynczego człowieka? Ludzie, którzy giną w walce z przemocą, są jak pojedyncze krople krwi z piersi, rozdartych szpadą. Nie może naród upadłać się ze strachu, by nie zgnił sam w sobie. Przemoc trzeba odpierać przemocą! Za gwałt—gwałt! Za krew—krew! Za śmierć—śmierć!

Łagodne jego oczy, nabierały blasków, jak lśnienie miecza, który zwycięzcom toruje drogę w ciemnościach nocy. Usta, skrzywione uniesieniem, wyrzucały słowa przez zaciśnięte zęby. Halka nigdy takim nie widziała doktora.

— A wasze partyjne bojówki? czy nie z nich czerpie swe soki bandytyzm?—spytała nieśmiało.

Doktor się zerwał. Zdawało się Halce, że wybuch-

nie gniewem, ale on uspokoił się szybko. Przeszedł parę razy pokój wszerek, a potem stanął przed nią. Mówił:

— Pani najlepiej wie, przed kim to drżą bandyci? kto to ich ściga i tępi, jak dzikie zwierzęta? Rewolucya wyrzuca na wierzch męty—nie my! A jeżeli się nawet trafi pośród nas zbrodzień, to przecież, kto uprawia plon, uprawia razem i chwasty.

— Wybaczcie doktorze—odpowiedziała Halka. Nie chciałam was urazić, lecz jakie to straszne! Z rządem walczyacie—krwią, z bandytami—krwią. Wszędzie krew się leje, krew wam ręce plami. Czy tego już nie zawiele?

— Panno Halko! wierzaj, że niema innej drogi! A zresztą, gdyby pani patrzyła, jak bezkarnie mordują braci, jak kolby szczękają po okrwawionych czaszkach tych, którzy podnoszą hasło wolności, pani pierwsza porwałaby choć bezbronną ręką za sołdacką kolbę, by ją zwrócić w pierś kata.

— Czy ja wiem? — zaszepiała głosem, nagle złamanym.

— Pani nie ma pośród nas bojowców nikogo sobie blizkiego, ale gdyby pani miała, gdyby go wiedli na śmierć...

— Doktorze!

To jedno słowo. Krzyk wyrwany z piersi. Zapadło długie milczenie.

Weszła służąca. Podała zamorusaną kartkę. Doktor szybko przebiegł oczyma.

— Muszę iść natychmiast. Ten szewczyna z ulicy Żytniej ma znów krwotok płucny. Pani zaczeka na mnie?

— Z chęcią zaczekam, lecz nie dłużej, niż do godziny trzeciej.

Została sama.

Stojąc przy parterowym oknie, spoglądała na ulicę w zamyśleniu. Snuł się po chodnikach szary, brudny tłum. Przed sklepikiem stał wypłowiały żydek. Rude peruki wisiały za szybą zamkniętych drzwi. Środkiem ulicy po wyboistym bruku pędziła jednokonka, w ciężkich podskokach. Halka zatrzymała nieruchome źrenice na karłowatym drzewku, które pod kątem odbiegało od zimnej ściany domu ku ulicy, ku powietrznym falom słońca. Smutek wypełzał z jej myśli, z jej serca, z wszystkich komórek zbolełego ciała. Patrzyła na liczne skupienia szarych blizn na korze samotnego drzewa.

Któż twoją korę poszarpał, o drzewo moje? Czyjaż nielitościwa ręka zapuszczała ostrze noża po sokońskie tve żyły? W nędzy żyłoś na kamiennym bruku, w upodleniu, gdy tve siostrzyce w bogatych parkach miejskich dumnie wstrząsają koronami, żyłoś oplwane i potrącane kołami lecących wozów, żyłoś w wiecznie niedościgłych dążeniach do światła, zakrytego posępnyimi murami kamienic, w tęsknotach wypłakiwanych łzami twych ran, a jeszcze, mściwe serce ludzkie nie szczydziło ci bolesnych razów, wyrafinowanych prześladowań — z okrutnej swawoli.

Z niewypowiedzianem uczuciem, przerastającym granice serca, odchodzi Halka od okna i opada w duży, staroświecki fotel. Splótłszy ręce na kolanach, opiera głowę o poręcz.

O! myśli moje. O! tajemnicze drogi ducha. Czemu ja nie umiem iść waszemi ścieżkami? czemu mi brak skrzydeł? O! ciężka chwilo chaosu. Ołowianą drogą idą

myśli moje, o kuli żebraczej idzie duch. A serce—pielgrzym zbłądziło w pół nocy. Napróżno, doktorze, rozjaśniasz drogi. Za słaba jestem, za uboga duchem. Nie pójdę za tobą, nie mogę, nie mam sił.

Ty mówisz, że tylko w ten sposób na gruzach starego ładu wzrosną kwiaty postępu. Czy aby wzrosną? czy ofiary wasze nie będą daremne? Bo i cóż się stanie nowego? Zmienia się osobistości, zmienia się systemy, lecz czy się zmieni natura człowiecza? Ach! wiem, wiem, nie przerywaj. Wiem, co powiesz. Natura człowieka jest anielska. Jedynie walka o byt wypacza ją i czyni z niej zwierzę. Zmienmy granice między klasami, dajmy każdemu prawo do pracy w sprawiedliwych warunkach, a czarne anioły życia ustąpią przed światłem.

O! wiaro, wiaro!

Na jedno zgadzam się z tobą. Gdy mówisz, wstrząsa mem sercem ten sam gniew, którym drżą twe wargi. Jest jedno słowo nie wypowiedziane niczem: przemoc! Od kolebki życia wisi nad nami ta straszna, sztyderna twarz. Cieszy się i śmieje, że nasze ręce związały, że nogi bezwładne, że myśl zatruwa się w ciasnych rozmiarach klatki, cieszy się i śmieje, tem radośniej się śmieje, że jej to dziełem ta niewola i bezwład.

O! któż zdoła opowiedzieć, czem jest przemoc?

Czasem człowiek widzi we śnie, czego dusza nie dojrzała przez otwarte źrenice oczu. Pamiętam sny o przemocy i tę bezwładną rozpacz ciała. Któż zdoła opowiedzieć gniew, który wówczas wybucha, i słodkie pragnienie zemsty, która się uśmiecha bezsilnie. Znam, rozumiem wasz gniew i wasze pragnienia. Przemoc trze-

ba kruszyć siłą. Ale jaką siłą? Straszna masz odpowiedź doktorze! straszne na ustach masz słowo: krew!

Boję się myśleć o tem, bo nie umiem zaprzeczyć. Boję się przeczyć, by sercu nie kłamać. Boję się kłamać, by nie iść za wami. Doktorze! nie mogę, za słaba jestem, za uboga duchem. Duch mój idzie o kuli żebraczej, a ołowianą drogą idą myśli moje. O! ciężka chwilo chaosu. O! tajemnicze drogi ducha.

.

Powoli, powoli otrząsa się Halka z zadumy. Z głową, ciężką od nawału myśli, wstaje i zabiera się do wyjścia. Była już godzina trzecia. Niechętnie szła na wystawę, gdzie ciotka na nią oczekuje. Cóż ją mogła zajmować twórczość, nie związana z chwilą obecną? prace ducha ludzkiego, który przejawiał się w pejzażkach, scenkach rodzajowych, portretach panów i pań? Nic! zgoła nic. Widziała obłądne szlaki, którymi torowała sobie drogę dusza całego narodu, widziała wybuchy szalone, które niosły przed sobą pożar myśli. Jej serce nie pragnęło innych wzruszeń, oczy nie szukały innych wrażeń. Cóż mogłyby jej dać symbole zadumy, choćby tęsknoty, choćby zaświatowych bólów? Jej piersi wypełniały się bólem obecnego życia, krzykiem żywych ust, żarem cierpienia, idących z tego świata.

Po drodze zwrócił jej uwagę idący patrol. Dwóch żołnierzy ze stójkowym na czele prowadziło jakiegoś robociarza. Szedł biedny chłopczyzna pośrodku nich spokojnie. Jedyne potargana bluza na piersiach świadczyła o próbie daremnej walki. Chłopak był młody, mało jeszcze doświadczony w sprawach tego rodzaju. Oczy

jego, pełne beznadziejnej rozpacz, biegały wokół, szukając ratunku, błagając o pomoc.

Halkę ogarnęło nagle wzruszenie. Wargi jej wyszeptały słowa, rwące się do ust, niby łzy do oczu.

— Dokąd idziesz, młody przestępco? za jaki grzech, prowadzą cię siepacze za kraty więzienne? Żeś nie umiał patrzeć spokojnie, jak mordowano twoich braci? żeś nie umiał być kamieniem, a byłeś bijącym sercem? Na tobie przemoc już położyła swe ręce. Któż je odejmie z twoich młodych piersi? któż cię powróci żyjącemu światu?

Patrol szedł ulicą Królewską. Halka za nim krok w krok. Nie mogła oczu oderwać. Wyobraźnia mówiła jej, że to kto inny, że włoką innego na śmierć. Serce z przerażenia tłukło się w piersiach.

Chłopak stąpał leniwie, rozmyślnie opóźniając minuty dnia. Strażnik obejrzał się gniewnie i zakomenderował:

— Nuże jego!

Wówczas żołnierz przechylił karabin bagnetem ku sobie. Ujął go w obie ręce, cofnął, a potem pchnął nagle kolbą w same plecy. Chłopak zachwiał się i, by nie upaść, chwycił za rękaw drugiego żołdaka. Ten, nie mówiąc nic rznął go pięścią przez oczy.

— Za co mnie bijeta, psie pary?

— A ty swolocz, będziesz jeszcze odpowiadał.

Szczęknęła kolba o czaszkę. Chłopak zatrzepotał rękoma i upadł na chodnik. Strażnik doskoczył i chlasnął go buciskiem w otwartą gębę.

— Wstawaj sukin-syn!

Kopnięta głowa uderzyła o bruk, lecz chłopak nie wstawał. Wówczas strażnik walił butem jeszcze raz.. jeszcze raz... jeszcze raz...

Na kamienie ulicy trysnęła krew z otwartych ust.

Halka uczuła we wnętrzościach ostrze utopionego noża. Przestrach, bezmocna rozpacz, szal gniewu przeszły ją od stóp po rdzeń mózgu. Każde z uderzeń dygotało w sercu falą chlustającej krwi. Rozcięła się, rozprysła w kawały skorupa własnego, odrębnego bytu na ziemi. Uniesienie niezaznane dotąd, zerwało się w niej całe, jak wichur — na głos mordowanego brata. Usta szczękające złożyły się do przysięgi niezłomnej, jak śmierć.

Zemsta! zemsta! za twoją krew!

Po twarzy białej nie spływała ani jedna łza.

XIII.

Mrok zapadał. Halka stała oparta o żelazną poręcz mostu. W dole pod jej stopami mętna fala Wisły niosła białe odłamy kry. Szara mgła wstała z oparów rzeki i przesłoniła gęstym pomrokiem długie rzędy nadbrzeżnych latarni oraz huczące zdala miasto. Światła latarni wydawały się we mgle, jak szereg złotych guzów srebrnolitej kotary, rozwieszonej nad rzeką. Szły długim półkolem, im dalsze, tem mniejsze, aż ginęły w szarzejącej dali.

Z prawej strony wychylały się ciemne mury gmachów miejskich, ledwo widzialne, podobniejsze do chmur, niż do mieszkalnych domów. Przebijały z nich czerwono-złote kraty tu i owdzie oświeconych okien, a nad niemi w górze biła łuna jasności, jakby odbłask

wschodzącej zorzy za dalekimi grzbietami gór. To miasto wielkie, zdala huczące biło tysiącami świateł w nieruchome, gęste mgły. Między zorzą a czarną linią gmachów szaro-złota taśma zwichrzonych kłębow dymu.

Po rzecę płyną odłamy lodu. Jedne za drugimi nieprzerwanym łańcuchem białych ptaków. Od ich śnieżnych piór fala Wisły odbija ciemno-zielonym, ponurym połyskiem. Zdaje się głęboka i zdradna, jak morze. Czasem światło bliżej stojącej latarni ześliznie się po krze i uderzy w wodę. Wówczas leci złota strzała do jej dna.

Halka patrzy w trwożliwej tęsknocie.

Już tak dawno nie widziała doktora, tak pragnęła wyjawić mu wszystko, co się w jej duszy przemieniło od ostatniej u niego bytności, wszystkie niezłomne postanowienia, wszystek cel życia, który się nagle przed nią otworzył. A przedtem, przedtem jeszcze chciała się dowiedzieć, co się dzieje z Ablem. Wyjechał dni temu parę, wysłany przez partyę. Sprawa była ciężka, wymagała odwagi szalonej i krwi zimnej, Jego więc posłano.

Halka patrzy w trwożliwej tęsknocie.

Doktor ma zapewne ostatnie wiadomości. Była u niego w południe, ale nie zastała go w mieszkaniu. Wyjechał z Warszawy. Miał wrócić o ósmej wieczorem. Czeką więc Halka na godzinę ósmą.

Jak dziwnie, jak nagle budzą się wspomnienia z Wyrw. Czemu przychodzisz trwogo? czemu szeleścisz skrzydłem złowróżbnem?

Godzina szósta.

Żelazny kolos mostu szczęka od naporu pędzących kół. Drżą w biegu dorożki po żelaznej kracie bruku, lecą

z hałasem dzwonka tramwaje, przewala się z łoskotem ładowny wóz. A ludzie idą i idą, a sztaby drżą i drżą.

Jak ten ponury kolos, dygoce jej serce od przelatujących wzruszeń.

Maszeruje patrol, więc Halka, nie chcąc zwracać uwagi, idzie zwolna po drewnianym chodniku i znów przystaje i patrzy na rwącą wodę.

O kryl! o śnieżne ptaki mej tęsknoty! srebrnolite duchy nocy! gdzież was niesie ciemna fala? z jakich płyniecie stron? jakie niesiecie wieści na szklistych taflach lodu? Czemu drżycie na wodzie niepewne, jak serce moje?

Żegnajcie światła dalekie, zwiastuny mroku! Żegnaj łuno nad huczącym miastem! O! miasto, miasto, co mnie dziś przyniesiesz?

Halka idzie leniwie przez most, ulicami długimi. Stojąc w klatce schodowej, zaledwie odważa się dotknąć dzwonka. Służąca mówi, że doktor jeszcze nie przyszedł. Halka, prawie domowa, wchodzi do salonu. Już minęła godzina przyjęć. Ciemno jest w salonie. Halka nie pozwala oświetlać pokoju. Wystarcza jej blask padający z ulicy. Stała przy oknie, oparta o fortepian.

Przez szyby okien widać nędzną ulicę. Latarnia oświeca brudne, ciemne stopy śniegu, starannie uklepanego łopatom. Samotne, zniszczone drzewo dźwiga na swych gałązkach sople lodu. Ono najżywiej przypominało miniony czas. Przeleciały wieki od jesieni i lata. Ułożyły się niezgłębionymi warstwami pasma przeżytych uczuć. Gdzieś z głębi, gdzieś z duszy, z jej najtajniejszych otchłani zrywa się głos, woła o swe prawa. Minęła jesień, przemija zima, wszystko się zbliża ku wiosnie.

Czemu jej serce drży z niewiadomego lęku? czemu w niej całej łopoce strach i tęsknota?

Doktor się spóźnia. Już godzina dziewiąta, a jeszcze go nie widać. Halka siada do fortepianu. Gra. Płynnie z pod jej palców fantazyja Chopina. Świat cały okryty smutkiem. Zwisa nad ruinami szczęścia — wyrzeczenie się! Tylko ślady, ślady burzy przebytej, dawno odbiegłej burzy. Niel to nie to! Halka przerywa swą grę. W piersiach wzrasta niepokój, większy, niż burza, większy, niż łoskot pioruna. Pod uderzeniami palców zdrząły klawisze, zajęczały struny. Zrywa się do życia romans ulubiony. Napęlnia sobą każdy wzburzony nerw, napęlnia pokój, napęlnia cały świat.

Ścielą się przed oczyma szerokie śnieżne pola. W dali lasy błękitnieją. U skraju lasów rozsiadłe chaty wyrzucają kominami proste słupy dymu. Na prawo trakt szeroki, wysadzany topolami. W pewnym miejscu maleńki zagajnik. Wznoszą się drzewa otulone śniegiem. Ku temu zagajnikowi jacyś ludzie podpełzają w rowach. Idą z różnych stron, zanurzają się w śnieżystym puchu, giną pod lekko otrząśniętymi gałęziami świerków. Idą po jednym, po dwóch, nieznacznie, od rana. Teraz już śpi zagajnik w ciszy. Senne ptaki siadają na jego igliwiu i kołyszą się. Nie wiedzą, co w jego wnętrzu. Lutowe słońce schyla się szybko ku zachodowi. Za lasem wśród rozstrzępionych obłoków wybiegają blade promienie, sieją się po niebie przez wieczorne mgły, padają na pola śnieżne. Rozjaśniają się białe płaszczyzny, rozbłyśka mocniej prostokąt świerków nad lasem.

Drogą, wysadzaną topolami, idzie długi konwój.

Przodem żandarmi na wielkich, czarnych koniach. Za nimi maszeruje piechota. Pośrodku poczta rządowa, zapewne ładowna w pieniądzu. Na koźle karetki i na daszku z żelazną baryerką siedzą policyanci, zbrojni w karabiny. Za karetką idzie piechota krokiem miarowym. Korowód zamykają znów żandarmi,

Pochód zbliża się do zagajnika. Mieli iść tędy nocą. Czemu przyspieszyli czas przejścia, czemu tak wielka siła żołnierzy? Zachodzące słońce lśni krwawo na bagnietach. W zagajniku świerkowym miejscami z gałęzi śnieg zaczyna osuwać się na ziemię! Czy ptaki wędrowne zerwały się? czy zwierz spłoszony uciekał?

Klawisze drżą niepokojem. Niepokój, jak cisza przed burzą, zanim się zerwie huragan błyskawic, zanim uderzy piorun. W sercu Halki targa się trwoga, szczeka łańcuchami niedoli. Kto to!? Kto ich zdradził!? O mało struny nie pękają pod uderzeniami palców.

Zanim doszli do zagaju, piechota, na dany znak, sformowała się szybko, zaczęła bokami zachodzić. Konnica wybiegła naprzód. W zagaju zadrgało życie. Poczęły się trząść czuby świerków, śnieg sypał się obficie na ziemię, jak kiedy sady przez niskie drzewa stado spłoszonych jeleni. Za chwilę ukażą się oczom myśliwych łby przechylone, rogi, oczy, obłąkane strachem. Wynurzą się z zielonych gałęzi, poczną gnać przez pola śnieżne. Piechota szykuje się do strzału, już grzmi komenda. Lecz nim zdążyli się złożyć, zabłysły wśród świerków ogniste ślepie, zatrzęsł się, zahuczał zagaj, uniosły się nad nim dymy.

Połowa żandarmskich koni zwała się na ziemię. Jeźdźcy tarzają się w jękach po śnieżystej grudzie. Piechota się miesza.

Lecz komenda panuje nad nimi. Już karabiny żołdackie zieją kulami. Salwa po salwie, jedna po drugiej, jak mgnienie oka. Lecą kule z trzech stron w zagaj śnieżysty. Rwą się gałęzie, jak obcięte nożem, sypie się śnieg. Świeci i dymi zagaj w odwecie. Pada nawet trup. Lecz żołnierze podchodzą coraz bliżej, prażą w sam środek. Ostrza pochylonych bagnatów migają niedaleko drzew.

Napierana zewsząd, wybiega z zarośli niewielka gromadka. Za ledwie dwudziestu. Paru zostało, uspioonych wiecznym snem pod zimnemi płachtami igliwia i śniegu. Ci, którzy wybiegli, sadzą susami przez trakt. Jeden się odbił. Gna na żołdatów. W ręku ma kulę śnieżystą. Zamierza się. Chce rzucić. Złowieszczą salwa przeszywa mu piersi. Wali się na ziemię. Kula, wytrącona z ręki, pada na zmarzły bruk ziemi. Podnosi się kurzawa w słupach dymu. Huk jak sto gromów. Zatrzęsły się drzewa, a kiedy opadły czarne obłoki, nie było już sprawcy zamachu. Jeno na drodze i po smukłych pniach topoli krwawiły się rozerwane szczątki ciała i ubrania.

Zalękli się młodzieńcy. Chcieli się rzucić w rozsypkę, ale wstrzymał ich głos.

Ten głos rozdarł piersi Halki — krzykiem przerażenia.

Wpadła służąca doktora. Dygocącemi szczękami Halka wyprasza ją za drzwi:

— Nie... nie potrzeba... nic się nie stało... nic mi nie jest...

Po chwili słyhać tony spokojniejsze. Nadzieja wstępuje w serce. Halka widzi, jak Abel w mgnieniu oka sformował obronę. Na jego rozkaz, pozostawiwszy zabitych, poczęto się cofać w porządku. Jedni z towarzyszków zatrzymywali się. Przykucając w rowach, kryjąc się za tu i owdzie rozsiadłą gruszą polną, prażyli z mauzerów celnymi strzałami. Inni tymczasem, co tchu w pierśiach, uchodzili za nowe zasłony. Tak naprzemian broniąc się, ostrzeliwując, ustępując szybko i znów wstrzymując pogoń, niby odynieć kłami zgrają psów, odbiegali coraz dalej od miejsca, które było niedogodne do walki z nierównie liczniejszym przeciwnikiem.

Niedaleko była wieś. We wsi opłotki, wśród których łatwiej się bronić. Za wsią las sosnowy, zagaje gęste. Słońce chyliło się coraz szybciej ku zachodowi. Niedługo ciemna noc ułatwi ucieczkę. Abel szedł między cofającymi się ostatni. Raz po raz zmierzał się. Strzały jego były rzadkie, lecz nadzwyczaj celne. Halka wiedziała od jego towarzyszków, jak ich mustrował. Na zbira carskiego szkoda dwóch nabojów—mawiał.

Już dobiegali wsi. Halka całą siłą swej duszy przesyła mu słowa uwielbienia. Czy to dlatego, kto wie, — na ustach Stefana zjawia się radosny uśmiech, tak dawno niebывały gość. Ogląda się wokoło. Widzi, że swoim przybywa siłą, nacierający słabną na duchu. Coraz większa odległość dzieli jednych od drugich. Już kule skaczą bezkrwawo po twardej skorupie zmarzniętej ziemi, nie raniąc nikogo.

W tem ręce Halki opadły na kolana.

Na dalekim skraju lasu ukazały się lance. Chwieją się w zachodzącem słońcu nad głowami koni i jeźdźców. Pierwszy dojrzał je towarzysz, zwany Chmurnym. Znała go Halka oddawna. Dopadł do Abla i pokazuje.

Kozacy!—wyszeptała z przestachem. Ukryła twarz w dłoniach. Przez zamknięte powieki, przez palce na powiekach patrzy na śniegi, skrzące się w słońcu.

Sotnia jeźdźców wali na przełaj, by zejść drogę cofającym się do lasu. Niema chwili do stracenia. Cała nadzieja w tem, kto wpierw dobiegnie, kozacy, czy oni. Abel zakomenderował bieg. Zerwali się wszyscy. Trzymając mauzery w ręku, zaczęli biedz wielkimi susami po grudzie ziemi. Między ostatnimi sadił Abel. Długą pelerynę podkasał, owinął jej koniec około pasa i biegł lekko, zwinnie, jakby mu to było zwykłą rozrywką. Za uciekającymi puścili się pędem konwojujący żołnierze, żandarmi, strażnicy. Widziała Halka długą linią biegnących. Na przodzie co chybsi towarzysze, za nimi drudzy, trzeci, potem Stefan z resztką, a znów dalej zmieszane z sobą mundury długiej pogoni. Z boku zachodziła w całym pędzie konnica.

Najbliższa droga wiodła do lasu przez cmentarz, który stał nad zagajnikiem tak blisko, że jeden jego bok wrzynał się w świerkowe drzewa. Kilku towarzysów już dopadło bram cmentarza. W jednej chwili przesadzali groby i lecieli co tchu na drugą stronę, gdzie wznosił się wysoki mur. Tam dobiegłszy, stanęli zmęczeni, zziębnięci, nie mogąc złapać oddechu, nie mogąc przebyć muru.

Stefan z resztą towarzyszków zaledwie dobiegał bramy. Za nimi tuż, tuż konnica. Kozacy szybko zsuwali się z koni, jeden po drugim i poczęli biedz chyłkiem. Za chwilę dopadną zmęczonych długą ucieczką. Już Abel pomyślał, czyby w dwóch lub w trzech nie zatrzymać na sobie pędzących kozaków. Halka całą siłą woli nagli ich do pośpiechu, całą duszą błaga o pomoc. Serce jej zamiera.

Wtem padają strzały z mauzerów. Kilku kozaków kopie śnieg nogami, rzuca się w jękach po okrwawionych grobach. Inni wstrzymują się w pościgu. To Chmurny urządził obronę. Stoją towarzysze za murem ukryci. Biją, jak w cel. Pod ich osłoną Abel dobiega do muru. Pomaga innym do przejścia. Chwyta ich za golenie i przerzuca jednym rzutem ręki. On taki silny! on, bohater!

Stefan, już ostatni, uczepił się krawędzi muru. Za chwilę będzie po drugiej stronie, za chwilę wszyscy zaszyją się w las.

Halka zrywa się z jękiem. Chwyta za klamkę okna. Czoło rozpalone wpiera w zimną taflę szyby. Nie czuje Halka, jak ostre szkliwo łamie się, jak rozcina skórę, jak krew poczyną się sączyć strugami po twarzy.

Tam pod czerwonym murem cmentarza ręka Stefana puściła krawędź. Ciało wali się na ziemię u stóp kamiennego grobu. Myśli Halka, że to już śmierć. Lecz strzał nie był jeszcze morderczy. Zerwał się Stefan w jednej chwili. Chciał uciekać. Spojrzał wokół siebie. Przed nim, z boków, wszędzie szare szynele. Błyszczą bagnety.

Wówczas ukląkł. Rękę, zbrojną w brauning, przyłożył do oka. Halka widzi, jak klęczy na jednym kolanie. Ręka lewa, strzaskana, zwisa bezwładnie ku ziemi. Na plecach i wyciągniętem do strzału ramieniu peleryna rozpięta, jak czarne skrzydło. Głowa bez czapki. Ciemne zlepy spoconych włosów na czole. Oczy się skrzą. On cały wygląda, jak ptak drapieżny, któremu strzaskano jedno skrzydło, więc zasłania się drugim przed ciosem spodziewanym, a jednocześnie czai się pod murem i czyha, by uderzyć.

Rozgląda się wokoło. Ściana lśniących bagnetów zbliża się nieprzerwanie. Połyskują ostrza między grobami, ślizgają się przy murze. Na niektórych z nich zachodzące słońce pali się krwią. Stefan unosi głowę. Nadśluchuje. Odróżnia huk mauzerów i brauningów. Na twarzy jego widać troskę. Martwi się, że dla niego ociągają odwrót, że zginą najlepsi towarzysze.

— Uchodźcie samil! Nie bróńcie mnie — szepce omdlałemi usty. Nie ma siły, by głośno zawołać komendę. Nikt go z towarzyszków nie słyszy. Jedna Halka rozumie, jedna Halka wyczuwa w swem sercu każdy szept jego ust.

Gdy strzały oddalają się, cichną, gdy jedynie pojedynczo rozlega się huk po leśnych gąszczach, radość i ukojenie spływają na twarz Stefana. Oczekuje śmierci spokojnie.

Zagrzmiała komenda:

— Żywcem go brać!

Za komendą broń zamigotała. Stefan strzelił raz pierwszy od czasu, gdy ukląkł. Po strzale zwałił się

między groby błyszczący bagnet. Celował potem zimno, spokojnie. Ani jeden strzał nie chybiał. Lecz fala lśniących bagnetów zbliża się nieprzerwanie. . . .

Halka oczyma przenika jego oczy. Myślą swą obejmuje jego myśl, niby przedśmiertną pieśczętą. Stoi za nim cała biała, jak anioł—stróż. Dusza jej unosi się szepcetem pytającym: o czem ty dumasz, bohaterze, w chwili śmierci? że ci orły przyniosły na skrzydłach koronę męczeńską? czy żegnasz wiernych towarzyszków swoich? czy może raz ostatni przyzwałeś kochankę swą? czy śni ci się wielka twoja sprawa? że ją własną zrosisz krwią? że z tej krwi wyrośnie kwiat szczęścia dla innych?

Halka siedzi teraz w fotelu. Już ani jednej łzy w oczach zbolałych, ani jęku w zduszonych piersiach. Samotnie, bez jednego wyrazu błędzi — rozpacz. Przez jej mgłę Halka zaledwie słyszy, że doktor wchodzi do kancelaryi, że z kimś długo rozmawia.

— Kacper ich zdradził—mówi obcy głos. Ten sam Kacper, którego Abel przez litość uchronił od śmierci. . . Bronił się długo. . . Nie mogliśmy go ratować. . . Piechota zachodziła nam z boku po za murem cmentarnym. Musieliśmy uchodzić . . . Od jednego z kozaków dowiedzieliśmy się później o końcu. . .

Cóż dla niej znaczą słowa zasłyszanej rozmowy? Ona wie wszystko, wszystko . . .

Otwierają się drzwi. Wchodzi doktor. W ciemności pokoju zaledwie rysuje mu się postać Halki. Nie widzi jej twarzy bladej śmiertelnie, krwią ociekłej na policzku. Mówi złamanym głosem:

— Towarzysz Abel wzięty.

Milczenie.

— Ale nie żywcem!

Po długiej chwili słyhać z kąta pokoju głos — nie

Halki:

— Doktorze! ja już dawno chciałam. . .

Doktor nie pozwala kończyć słów.

— Wiem, wiem! to się musiało stać.

Bronisze, w lutym r. 1918.



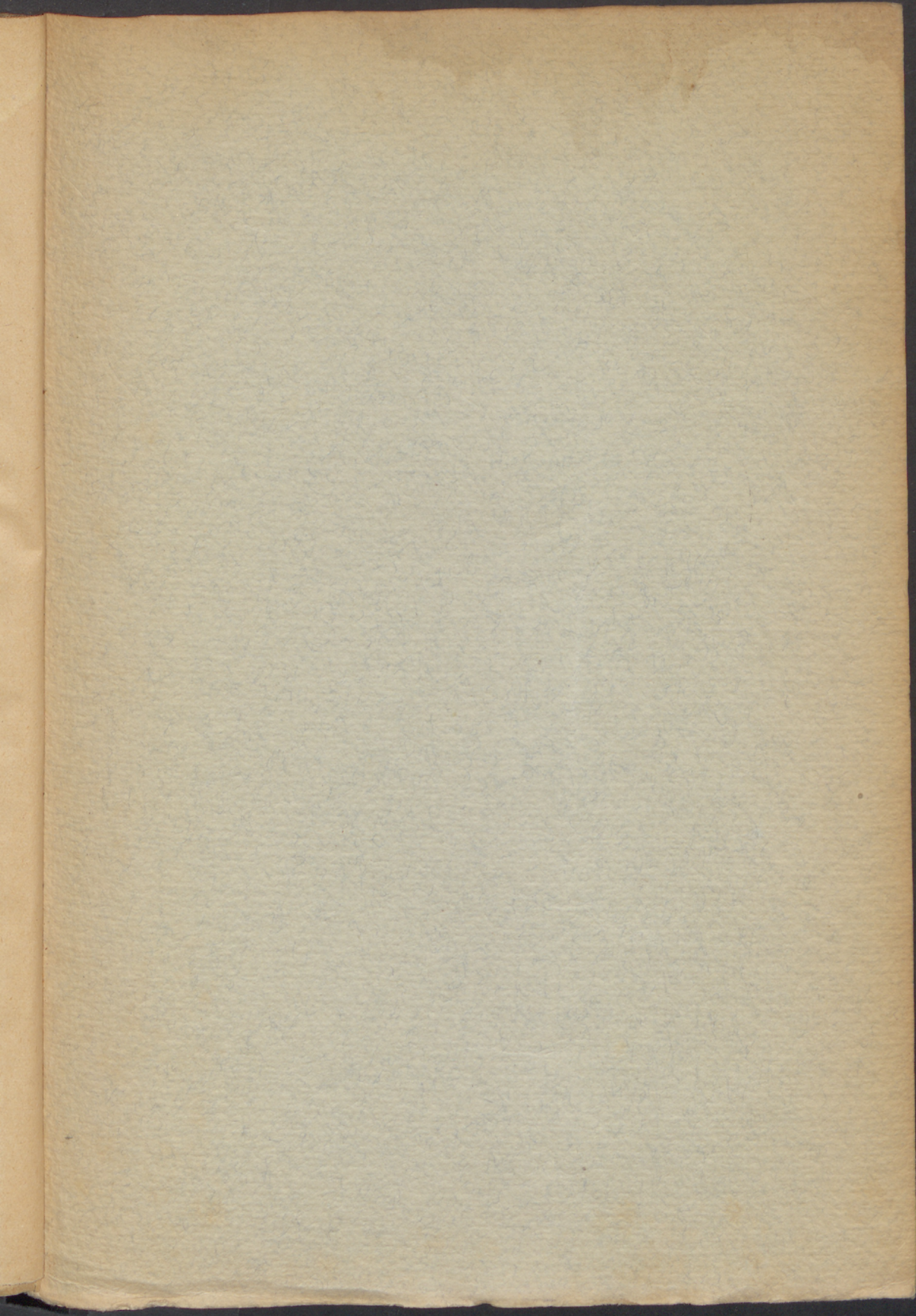
45 -

50137/257067

Biblioteka Główna UMK



300047605495



399 628

Biblioteka Główna UMK



300047605495